



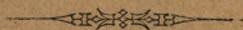
HERB NA GIEŁDZIE.

HERB
NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

25.
Jana Zacharyasiewicza.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63
WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Biesiady Literackiej.”

—
1888.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Августа 1887 года.



Drukiem Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 1530 (26 nowy).

3756

<http://rcin.org.pl>

I.

U małych okien wiszą białe zasłony; za oknami rozpościera się górski krajobraz. Góry po nad góry piętrzą się coraz wyżej, jedne ciemniejsze, drugie fioletowe a inne błękitną mgłą zabarwione.

Przez okno patrzy na te góry niski, silnie zbudowany mężczyzna z resztkami siwych włosów na głowie; z długiego cybucha ciągnie dymek siny i układa go na szybie w takie same warstwy, w jakich wznoszą się przed nim góry rodzinne.

Pokój był niewielki skromnie urządzony. Podłoga czysto wymyta, kanapka nieco wyszarzana, parę stolików, kilka krzeseł, a na szarych ścianach pejzaże i dwa duże konterfekty olejne.

Przy jednym stoliku siedziała starsza matrona z robótką w rękę, a przy niej przepisywała coś z książki drukowanej młoda dziewczica.

Stary jegomość spojrział z pewnym zadowoleniem na matkę i córkę.

„Kwartę przedniej mąki i pół funta masła” — czytała z książki ciemnooka dziewczica.

— Ale masło ma być pierwiój dobrze sklarowane — uzupełniła matka.

Jegomość buchnął dymem na zapracowane kobiety.

— Niech kaci wezmą te wszystkie książki i poradniki domowe! — zawołał z dobrodusznym uśmiechem pod wąsem; podają różne recepty na wykwintne smakołyki a nie pytają, z kąd to wziąć mąki, masła, rodzynków, pieprzu, szafranu i różnych bakaliów! Po co to robić ludziom oskome, jeżeli pustki w kieszeni i w spiżarni. Jeżeli tak dalej pójdzie, to przy naszych zdobyczach autonomicznych nie wystarczy nam na barszcz i kaszę!

I szerokim krokiem zaczął chodzić po pokoju.

— Ale Jędrzeju—odezwała się żona—przecież nikt zbyt-
ków nie robi. Oszczędzamy się jak możemy, a jeżeli za tydzień
wypadnie nam więcej sąsiadów przyjąc u siebie...

Jegomość zatrzymał się i słodko spojrzął na córkę, która
na to spojrzenie oczy na stół spuściła.

— Cóż Heluniu — rzekł z uśmiechem — czy domieszasz
jeszcze do tój mąki i do tego masła, jakie bakalie sekretne?

Helunia podrzuciła piękną główkę do góry.

— Żadnych czarów przecież nie potrzebuje...—odpowie-
działa z rozkosznym uśmiechem—przyjedzie i zje co będzie.

— Znamy go wszakże od dziecka—dorzuciła matka.

Jegomość przeszedł się kilka razy po izbie.

— To prawda—mrucał pod nosem—ale obawiam się,
aby ta sukcesyjka po babce nie zawróciła mu głowy. Trzydzie-
ści tysięcy to ładne grosiwo!

— Przecież dla pieniędzy nie żenią się ludzie! — z pewną
urazą odpowiedziała Helunia.

Ojciec zatrzymał się przed nią.

— O kobiety, kobiety!—zawołał śmiejąc się serdecznie—
co wam w głowie siedzi. Jeżeli mężczyzna ma trzos pełny, to
wy odgrywacie rolę naiwnych aniołków, które nie jedzą i nie
piją tylko po powietrzu fruwią! Powiadacie wtedy, że dla ko-
chającego serca grosz jest obojętny, że pieniądze nie mają
w romansie żadnej wartości. Ale obróćmy rzecz drugim koń-
cem: gdybyś ty, Heluniu, miała dzisiaj gotówki trzydzieści ty-
sięcy... czybyś wtedy tak samo myślała? czy aspiracye twoje nie
byłyby w takim razie wyższe? czy twój mały nosek, który już
z natury jest nieco podniesiony, nie zadarłby się jeszcze wyżej
do góry?

— Gdybym go kochała, to jest, gdybym go przedtem ko-
chała nim ta sukcesya...

— Więc kochałaś go już przed tą sukcesją?... Rodzice
przecież nic o tém nie wiedzieli!

Helunia zapłonęła jak piwonia. Jegomość zaczął z wy-
rzutem kiwać głową na żonę.

— I tyś o tém kochaniu nic nie wiedziała? — zapytał po
chwili żartobliwie. Przed tą pokaźną sukcesją nie wspominał
nam pan Józef ani słówkiem, że o Helunię starać się zamysła.
Zresztą sądzę, iż nie miałby nawet odwagi pomyśleć o tém:
przysiołek nie wart i funta kłaków a rodzina liczna jak za
czasów patryarchalnych!

Helunia otworzyła usta i chciała coś właśnie odpowiedzieć, gdy nagle lekka wibracja powietrza poruszyła szybę w oknie. Siedziała nieruchomie, jakby się nagle w statwę kamienną zamieniła. Ojciec i matka patrzyli na nią niespokojnie.

— Czy ci co jest?—spytała matka.

— Czy ci słabo się zrobiło?—dorzucił ojciec.

Helunia ciągle milczała. Podniosła rękę do góry, jakby nią milczenie nakazywała. Ojciec i matka obejrżeli się dookoła... nic nie widzieli, nic nie słyszeli.

Trwało to czas jakiś. W pokoju i za oknem była cisza głęboka. Tylko od czasu do czasu zabrzęczała lekko szyba w oknie, i znów było cicho. Helunia siedziała spokojnie, z widocznym wyteżeniem na twarzy, jakby kogoś podsłuchiwała.

Dopiero teraz ozwał się daleki turkot na drodze a szyba zaczęła głośnieją dźwięczeć. Turkot zbliżał się coraz więcej, aż wreszcie przekroczył bramkę i ustał przed samym gankiem.

Helunia poczerwieniała teraz jak karmazyn, a jegomość nie pytał się już o powód tego rumieńca, pospieszył czempredziej na powitanie ukochanego gościa z sukcesą po babuni.

II.

— Powiadam ci, kochany Józefie — wołał pan Jędrzej, ciągnąc gościa do pokoju — powiadam ci, co to jest ucho kobiece, chciałem powiedzieć panięskie! Ja i moja żona nie słyszeliśmy nic a nic... było cicho jakby mak siał... a ona już słyszała! Bodajto być młodym!

Helunia jeszcze więcej poczerwieniała, ale szczęśliwy ojciec nie zważał na to. Sąsiada z sukcesą posadził na najlepszym krześle, nie dawszy mu nawet czasu do serdeczniejszego przywitania się z kobietami. W braku cygara, dał mu najlepszą fajkę na długim cybuchu, za co jednak konkurent uprzejmie podziękował.

Był to mężczyzna silny i zdrowy; nie liczył więcej nad trzydzieści lat; miał twarz rumianą, ciemny zarost i oczy ciemne, w których przebijała się pewna inteligencya potrzebna do życia towarzyskiego. Nos kształtny, naprzód wyskakujący, okazywał energią i siłą woli a roztwarte i ruchliwe nozdrza zdradzały skłonność do szybkich wrażeń i namiętności. Dowodem tego były blizny, na skroni i na prawym policzku, pochodzące od cięcia szabli. Wszystkie ruchy jego były niespokojne jak u człowieka, którego dręczy pewne oczekiwanie. To też sąsiad pan Józef niedługo siedział na krześle i niedługo bawił się podaną przez gospodarza fajką; krzesło posuwało się w tył coraz więcej, a fajka co chwila gasła.

Powodem takich nienormalności były oczywiście—kobiety. Potrzeba bowiem było z niemi się przywitać, i to i owo im powiedzieć; osobliwie Helunia rumieńcem swoim sprawiała mu nie mało kłopotu. Ojciec dolewał jeszcze oliwy do ognia: mówił ciągle o czułych bębenkach... uszka panięskiego i o brzęczeniu rozbitej szyby w oknie. Opowiadał dalej, jak ta szyba pękła

w skutek kichnięcia Jmć pana Tyburcego, bardzo zacnego sąsiada.

Wszystko to sprawiło, że pan Józef utracił najprzód fajkę z ręki a potem krzesło; szukając zaś bezpieczniejszej lokacyi, usiadł na kanapce tuż obok swojej narzeczonej.

— Otóż go macie! — zawołał szczęśliwy ojciec — tak się kręcił i wiercił, aż wreszcie znalazł sobie miejsce... Prawdę mówiąc, przed miesiącem ani o tém pomyślałem, chociaż z drugiej znowu strony powiem ci pod sekretem, panie Józefie, że Helunia już dawno...o tém myślała.

Helunia przerwała:

— Ależ ojczy...

— Daj pokój dziecko, już ja wiem co mówię. Pannie nie uchodzi, aby mężczyźnie spowiadała się ze swoich sekretnych intencyj. Mężczyzna nie powinien nigdy wiedzieć, że zdobywcą jego była tak łatwą. Należy to do dyplomacyi kobiecój. Ale ojciec... co innego! może on to i owo powiedzieć, do czego córka nawet przyznać się nie chce. Otóż powiadam ci panie Józefie...

— Ojczy...

— Cicho bądź, nie przerywaj ojcu. Powiadam ci kochany sąsiedzie, nim jeszcze spadła na ciebie ta sukcesyjka po niedżałowanej ś. p. babuni...

— Ależ Jędrzeju — przerwała matka — po co tobie mieszać się między narczonych; oni sami wypowiedzą sobie wszystko.

— Nie koniecznie, kochanie. Ja naprzykład dotąd tobie nie powiedziałem, że nasza miłość wisiała na włosku. Jmć pan Błażej, który miał proces o młyn z twoim ojcem, obiecywał mi jakąś bardzo posażną jedynaczkę na Podolu, do której byłbym niezawodnie pojechał, gdyby nie ten rotmistrz od ułanów, który niby na polowanie do was był zawitał. Jejmość zerkiałaś zalotnie na jego wąsy, co mnie do takiój pasyi przyprowadziło, że jeszcze tego samego wieczoru oświadczyłem się z wszelką formą.

— Androny pleciesz Jędrzeju, androny!

— Nie, nie androny moja duszko! Zważ tylko panie Józefie jakby ci było, gdybyś czuł głód i obiadek chciał sobie zgotować. Idziesz na targ, kupujesz mięso, pietruszkę, cebulę i selery, rozdmuchasz ogień, nastawisz garnuszki i patrzysz niecierpliwie kiedy woda zakipi. Na pierwszą woń gotującej się stawy zaczynasz ślinkę połykać, wyobrażając sobie, jaka to

będzie rozkosz, gdy zasiędziesz do gotowego już obiadu! A teraz wyobraź sobie co się z tobą dzieje, gdy nagle przed dymiącą już misą ujrzysz zasiadającego łakomca, który z całym spokojem zawiązuje sobie serwetę pod szyję. Wtedy taka wściekłość może opanować człowieka, że gotówby sam wrzątek wypić i połknąć sztufadę na pół surową!

— Co tobie Jędrzeju dzisiaj do głowy przyszło!

— Nieraz o tém myślałem, tylko tobie kochanie nie nie mówiłem, bo to zawsze wstyd mężczyźnie, jeżeli jakieś poboczne względy na jego sentyment wpłynęły.

— Ależ ojciec—ozwała się z uśmiechem Helunia—budzisz w mém sercu podejrzenie, że i pan Józef...

— Pan Józef nie potrzebuje, aby dopiero jaki rotmistrz dodawał mu animuszu...

Pan Józef zmarszczył czoło, aż dwie blizny nabrzmiały.

— Gdybym rzeczywiście spotkał się z jakim rotmistrzem—odpowiedział żywo—tobym inaczej sobie postąpił. Wyzwałbym go na pojedynek, porąbał na kawałki, lub postrzelał na sito!

Jmć pan Jędrzej zaśmiał się głośno, aż historyczna szyba w oknie zabrzęczała.

— Żle, bracie, zrobiłbyś źle — zawołał pan Jędrzej — przegrałbyś sprawę z kretesem. Pojedynek dobry gdy idzie o honor; strzelać się o pannę, gdy chodzi o jej serce, dyabła warte! Jest pewnikiem, że kobiety wdychają zawsze za nieboszczykiem lub zerkają łaskawie na postrzelonego! Głupia wtedy rola szczęśliwego męża.

— W takim razie jednak inaczej postąpić nie można — odrzekł niecierpliwie pan Józef, patrząc w oczy Heluni.

— Trzeba przemówić do rozsądku—prawił dalej doświadczony pan Jędrzej. Tak samo i ja uczyniłem. Gdy ten rotmistrz wlaźł mi w drogę, wziąłem pannę za rękę i rzekłem: Widzę, że ten ułan dyabelnie pani się podobał. Ma ładne wąsy i brzęczące ostrogi — ale to już wszystko, a ja mam wioskę, mam bezdzietnego stryjaszka, który dziś jutro przeniesie się do chwały Pana Boga, a co najważniejsza mam stały afekt dla pani dobrodziejki, który nie skończy się dyslokacją kwatery, jak to bywa u każdego żołnierza!

— Zapewne ten ostatni взгляд przeważył szalę—zauważyła jejmość z uśmiechem.

— Mniejsza o to, co przeważyło — zawołał z dumą pan Jędrzej — wygrana była po mojej stronie. Mam otuchę, że jejmość tego nie żałowałaś!

W poczuciu niezamąconego szczęścia małżeńskiego, wydmuchnął pan Jędrzej ciemną chmurę dymu i krokiem zwycięzcy przeszedł się kilka razy po pokoju. Milczenie głębokie zapelnilo tę pauzę uroczystą.

Po niejakiem czasie zatrzymał się pan Jędrzej przed młodą parą.

— Otóż chciałem to powiedzieć—ozwał się z dyplomatycznym uśmiechem—że serduszko Heluni już wtedy do zacnego naszego sąsiada pukało, gdy rodzice jak w rogu nie a nic o tém jeszcze nie wiedzieli.

— Znów ojcze napędzasz mi rumieńca.

— Nic to nieszkodzi; rumieniec u narzeczonych to potrawa codzienna. Co mam na sercu, muszę wypowiedzieć. Mówią tu i owdzie w sąsiedztwie, że Helunia wtedy dopiero zdecydowała się przyjąć afekt pana Józefa, gdy wiadomość o sukcesyi nadeszła; otóż tym złym językiem mogę odpowiedzieć, że serduszko Heluni przed tą jeszcze sukcesyą do pana Józefa należało, jak to nam sama przed chwilą wyznała.

Helunia zasloniła oczy białą rączką.

— Ależ ojcze, jesteś dzisiaj nielitościwym!

— Wstydz się jak chcesz, moje dziecko, ale patrz jak się palą oczy pana Józefa! Przecież nie jest grzechem dolać oleju do lampy waszego szczęścia!

Pan Józef ucałował gorąco białą rączkę Heluni.

— Jestem przekonany—zawołał żywo—że panna Helena sprzyjała mi zawsze, że mogła mię nawet ukochać bez owęj sukcesyi, która nigdy nie wchodziła w program mego życia.

— Wierzę, zupełnie wierzę, a nawet jestem tego pewny.

Helunia odpowiedziała spojrzeniem na pana Józefa, a jej—mość przemówiła także do Jmć pana Jędrzeja jedném z owych spojrzeń, które mimo tyloletnich kłopotów gospodarskich, podatków gruntowych i rat towarzystwa kredytowego przypominają żywo miodowe miesiące szczęścia małżeńskiego.

Na cześć tych wspomnień, nałożył świeżą fajkę i zapalił ją z widoczną uroczystością.

Głucha cisza zapanowała w pokoju.

III.

Zaledwie parę miesięcy minęło od owój sceny w górskim dworku. Wszystko tam było jak dawniej; ten sam pokój, ta sama historyczna szyba pęknięta na dwoje, te same góry za szybą. Stół tylko przed kanapką nakrył się półjedwabnym kilimkiem, złotym szychem przetykanym; na nim zamiast kalendarza i przepisów kuchennych leżały teraz jakieś pisma illustrowane, traktujące przeważnie o modach.

Większa zmiana zaszła w samych mieszkańcach. Jejmość siedziała jak dawniej na kanapie, ale zamiast dawnego szlafrocza, miała na sobie welwetowy kaftanik, wcięty do figury, srebrem przetykane włosy były starannie wyczesane do góry, mimo, że to był dzień powszedni. W rękach trzymała jakąś robótkę jak dawniej, materiał jednak téj robótki był szlachetniejszy od dawniejszój bawełny; składał się z włóczki różnobarwnój.

Jmć pan Jędrzej pozostał na pozór ten sam: ta sama szara kapotka, te same buty jałowicze i ta sama siwiejąca czupryna na głowie. Za to gruntowna zmiana zaszła na jego twarzy; czoło jego pamarszczyło się i było tak ruchliwe, jak woda górskiego potoku; policzki poczerwieniały jak cybuch z burztynem, ale ulubiona fajka leżała na ziemi, o czém wcale nie wiedział. Miał przed sobą stos gazet zagranicznych i pilnie czegoś w nich szukał. Moźnaby go było posądzić, że jest kandydatem na męża publicznego, że zaczął uprawiać wielką politykę, gdy mu owsiana gleba nie dopisała. I nie byłoby w tém nic dziwnego; wszak sąsiad jego za pomocą kilku mówek dostał się do rady powiatowój, ztamtąd do sejmu i do Wiednia, a teraz zamyśla budować kolej żelazną z zyskownym tytułem człon-

ka rady zawiadowczej. Czyżby tego nie potrafił Jmé pan Jędrzej, czego dokazał Jmé pan Mateusz?

Tak jednak nie było. Jmé pan Jędrzej był człowiekiem skromnym i sił swoich nigdy nie przeceniał. Kłopotliwe gospodarstwo na górskiej glebie zawiodło go nieraz i zmusiło poprzestawać na skromnych nadziejach. Zresztą już sam wybór artykułów dziennikarskich, które teraz odczytywał, dowodził, że mu nie chodziło o sytuacje polityczne: poprzestawał na insersatach i tabelkach giełdowych.

Kilka razy pociągnął z próżnego cybucha i rzekł do żony z pewną gorączką:

— Czy wiesz, kochanie, że akcyje anglo-banku i losy tureckie znowu szalenie w górę poszły! Aż mię strach bierze, jaką fortunę robi pan Józef! Marzyłem wczoraj, że może już kupić Jodłówkę z Przysiołkiem — dzisiaj i klacz Sosnowiecki będzie już dla niego zamały.

— Co mówisz Jędrzeju! — odpowiedziała jejmość z rozkoszą — toż to wszystko jak we śnie. Nie dawno temu jak nauczyciel gimnazyalny chciał się pokusić o Helunię, a dzisiaj dla niej taka przyszłość się otwiera!... Czy pisałeś do Lwowa o tę karete?

— Nie spieszyłem się, i dobrze się stało. Widziałem wczoraj w mieście hrabinę Izę w takim powozie, który się z przodu i z tyłu zamyka; można mieć budę z tyłu i z przodu, jak kto chce. Jeżeli kupić, to już coś modnego... Czy Helunia czyta te książki francuzkie, które pocztą przyszły? Trzeba aby się ćwiczyła w tym języku, który będzie potrzebny w jej przyszłych stosunkach. Mówią, że na zebraniach u hrabiego i księcia marszałka rozmawiają tylko po francuzku.

Rozkoszne uczucie malowało się na twarzy szczęśliwej matki.

— Lękam się nawet myśleć o tém—tak niespodziane jest szczęście naszej Heluni.

— Opatrzność Boga, nic więcej. Niezasłużyliśmy sobie, z wdzięczną uległością trzeba przyjąć wyroki nieba!

— Któżby się był tego spodziewał!

— Żyjemy w takich czasach. Znakomitości nasze polityczne wyrastają jak grzyby po deszczu; wczoraj był producentem wołów opasowych, dziś mężem stanu, a w zanadrzu ma już buławę ekscelencyi!... Jeżeli z rozumem tak się dzieje, dla czegoż miałyby inaczej być z kieszenią?

— Czasy inne, trzeba się do nich zastosować.

— Otóż w tém sęk aby to umieć zrobić. Trzeba wpływać na Helunię, żeby te dawne przyjaźnie swoje powoli oddalała od siebie. Powinna o tém pamiętać, że nie w dalekiej przyszłości będzie się żyło w innych warunkach i stosunkach.

— Ja już teraz lekko to jęj natracam.

Rodzicielskie te kłopoty przerwał gość nowy. Wszedł on do pokoju z tą poufałością bezwzględną, z jaką zazwyczaj do warstwu rzemieślnika wchodzi reprezentant kapitału.

— Dzień dobry, Lejba—zawołał nieco sztywno pan Jędrzej — jak tam zdrowie?

— Ny—odparł z uśmiechem arendarz—ja myślałem, że pan dobrodziej zapyta jak stoi interes?

— Czy Lejba myśli o Jodłówce?

— Ja myślę o tém, o czém pan dobrodziej myśli.

Jmé pan Jędrzej wyprostował się jak człowiek, który nie rad patrzy poza siebie.

— Dzisiaj zamiary zmieniają się szybko, mości Lejbo; być może, że i ja, czy raczej mój przyszły zięć o Jodłówce teraz nie myśli.

Arendarz spojrział podejrzliwie na mówiącego.

— Dlaczego nie myśli? Jodłówka dobry interes.

— Dobry jak dla kogo. Kaftanik także dobry, ale jeśli kto może sobie kupić futro...

— Co to znaczy futro?

— Jodłówka to kaftanik, a futro to... to —klucz Sosnowiecki!

Jmé pan Jędrzej pociągnął teraz z próżnego cybucha i spojrzął z uwagą na swego tyloletniego powiernika. Znał on dobrze tę twarz wybladłą i tę brodę siwą; widział już nieraz jak ta twarz wyglądała, gdy naprzód raty żądał, lub o krótką pożyczkę się umawiał. Miała ona zawsze dla niego jakiś wyraz nieprzyjemny, było w niej coś, co mu przykrość sprawiało. Dzisiaj naszła go żądza odwetu; chciał na nią widzieć pewne uczucie, jakie w sercu ludzkim powstaje gdy się dowiaduje o cudzém szczęściu. Oczekiwanie jednak zawiodło go; Lejba nie skrzywił bynajmniej twarzy swojej, tylko podejrzliwie spojrział na gorączkowy rumieniec dziedzica.

— Klucz Sosnowiecki—ozwał się po chwili — to wielka krowa — to państwo!

— Jeżeli kogo stać na państwo... Pan Józef już ma dzisiaj, dwakroć stotysięcy gotówki!

Żyd nic nie odpowiedział.

— Cóż Lejba na to?

— Chyba to powiem, aby panna Helena jaknajprędzej ślub z nim wzięła.

— Czy sądzisz, że pan Józef kupiwszy klucz Sosnowiecki mógłby się inaczej namyśleć?

— Ja nic nie sądzę, bywa to różnie na świecie.

Jmć pan Jędrzej pociągnął znów z cybucha.

— Wiem, że u was pieniądze są wszystkiém, że u was zawierają się małżeństwa jak kontrakty na dostawę szabru; przed ślubem jedno drugiego nie widzi. U nas inaczej, trzeba sentymentu, trzeba gruchania, piosenki przy klawikordzie etc. czy tego nie rozumiesz, mój Lejbo!

— Niech i tak będzie. Czy chcesz wielmożny pan abym się co dowiedział o kluczu Sosnowieckim?

— I owszem... ale tak mój Lejbo aby hałasu nie robić...

— Rozumiem — osobliwie przed ślubem.

Żyd skłonił się, ale nie tak nisko jak sobie wyobrażał pan Jędrzej; zatargowanie klucza jakoś mu nie zaimponowało. Na szczęście pana Jędrzeja nadszedł gość drugi, który lepiej od żyda potrafił ocenić świetne powodzenie przyszłego zięcia.

— A... kochany proboszcz. Wielce się cieszę z takiego gościa. W nieszczęściu i w szczęściu trzeba się z drugim podzielić!

— Czy jakie nieszczęście? — zapytał sędziwy gość, stawiając laskę w miejscu najdogodniejszym.

— Chroni nas Boże od nieszczęścia!... Od ostatniego obliczenia zysków pana Józefa, cośmy wspólnie niedawno sprawdzili, podwoiła się jego fortuna. Człowiek ten urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, i nas pociągnął za sobą w swojej konstelacyi.

Jmć pan Jędrzej rozłożył gazetę.

— Czytaj proboszczu, jakie szalone kursa! Gdy pan Józef lokował swój kapitał u wekslarza wiedeńskiego, stały Anglo-banki niżej stu — dzisiaj wyszły wyżej czterystu! Weź do tego jeszcze losy tureckie, Nordbany, Westbany, Südbany, Elizabety...

— Zlituj się, panie Jędrzeju — przerwał proboszcz biorąc się za głowę — wszystko poprzewracasz mi w mózgownicy! Toż to cały słownik, przezacny kolatorze. O takich moneklaturach jak żyje nie słyszałem.

Jmć pan Jędrzej założył ręce, jak Napoleon po bitwie pod Ejlau, i uśmiechnął się.

— Żyliśmy w zacofaniu, dobrodzieju — odrzekł łaskawie—oraliliśmy niewdzięczną glebę, aby wiele posiać a mało zebrać. Płaciliśmy wysokie podatki, a sami jedliśmy barszcz i kaszę. Pocieszaliśmy się tém, że nasi ojcowie tak samo robili. Niemcy dopiero i żydzi uczą nas rozumu: nie sieją ni orzą, nie pracują tak ciężko a jednak zbierają miliony. Od tych milionów nawet podatków nie płacą, bo komisarz podatkowy nie zliczy ich!... Dlaczegoż i my nie mamy ich naśladować? Mówimy wiele o ojczyźnie a nie wiemy, że ojczyzna to pieniądze. Gdy nas wyzują z pieniędzy i z majątków, to ojczyznę dyabli wezmą! Dla biednych jest chyba tylko... królestwo niebieskie jak to ksiądz proboszcz zawsze nam w niedzielę obiecuje.

Proboszcz zażył tabaki i długi czas milczał.

— Przyznaję się—rzekł wreszcie—że jestem ignorantem w sprawach dzisiejszych, a może i zacofanym. Gdy Pan Bóg Adama z rajy wypędzał, mówił mu wyraźnie, że będzie w pocie pracował; o giełdzie, o papierach bankowych nie wspomniał ani słówkiem.

Jmć pan Jędrzej z litością spojrział na człowieka, który dotąd nie tylko w sprawach sumienia, ale nawet we wszystkich procesach o granice lasu z sąsiadami był u niego wyrocznią. Dzisiaj czuł się daleko wyższym od niego; powodzenie przysłego zięcia przysporzyło mu wzrostu i rozumu. Rozpoczął z proboszczem długą dysputę o spekulacji, handlu i przemyśle, o eksploatacyach zapomocą kapitałów składkowych, o spółkach i domach zleceń, i tym podobnych kwestyach dziennych, o jakich nazytał się był w gazetach.

Proboszcz nie wiele odpowiadał. Z pewnym niepokojem spoglądał na drzwi, przez które zwykła wychodzić do niego panna Helena. Niepokój jego wzrastał coraz więcej; krząkał i odkasliwał, ale napróżno. W drugim pokoiku nikt go nie słyszał. Drzwi milczały zamknięte, a za niemi było tak cicho i głucho jakby tam wszysej wymarli.

Obejrzawszy się poraz dziesiąty na drzwi zamknięte, zaczął z pewnym nieokreślonym uśmiechem:

— Dajmy pokój, mości kolatorze, tym sprawom mamony. Przyznam się, że wielkie majątki budzą zawsze we mnie jakąś obawę. Gdy się dowiem, że ten i ów przyszedł nagle do niespodziewanego mienia, zaczynam się obawiać, że to mienie jakieś licho z sobą przyniesie. Masz mi za złe, jeżeli w niedzielę twierdzę, że z biednymi jest Bóg—a ja ci powiadam, że do majątków źle zdobytych zawsze się dyabeł przyczepi!

Przy tych słowach zażył proboszcz tabakę z taką dziwną ekspresją, tak jakoś tajemniczo strzepnął palcami i tak niespokojnie na drzwi zamknięte spojrzął, że siedząca na kanapie pani Jędrzejowa doznała mimowolnie jakiegoś przykrego uczucia.

— Niechże jegomość źle nam nie wróży—rzekła z uśmiechem szczęśliwej matki — dobrze, że Heluni tutaj niema, bo ona i tak skłonna jest do różnych przywidzeń. Opowiadała mi dopiero wczoraj, że śniły się jej trumna, katafalk i świece, że słyszała dzwony pogrzebowe i śpiew: Salve Regina... Słyszała dalej jak ksiądz proboszcz...

— Czego te kobiety nie wymyślą — przerwał z głośnym śmiechem Jmć pan Jędrzej.—Jak tylko pan Bóg coś dobrego na nie ześle, to zaraz lękają się, czy im tego dyabeł nie odbierze! To śmiechu warte! Tak samo ma się z dobrą kolacją; zaraz po kolacyi trapią nas we śnie woły z rogami, psy wściekłe, raty bankowe, niezapłacone podatki i t. p. bestye.

Proboszcz spojrzął znowu na drzwi zamknięte; zdawało mu się, że słyszy tam szelest znanej dobrze sukienki swojej pochrzestnej... Było to jednak złudzenie.

— Jest w tém racya—rzekł po chwili—bo smaczna kolacya to złudne oszołomienie, a podatki niezapłacone i raty bankowe to rzeczywistość.

— Ktoby tam z tobą, zacy proboszczu, kiedy się dogadał — odparł pan Jędrzej już nie tak wesoło.

Nastąpiła długa pauza. Coś było w powietrzu, czego nikt nie wiedział ale przeczuwał. Jmci pani Jędrzejowa nie mogła włóczki rozmotać, proboszcz trzymał szczyptę tabaki przed sobą, a Jmci pan Jędrzej teraz dopiero spostrzegł, że cybuch jest bez fajki. Podniósł fajkę i zaczął ją machinalnie nakładać, co mu jakoś więcej niż zwykle czasu zajmowało. Gdy już fajka była gotowa, przeszedł się Jmć pan Jędrzej po pokoju i zatrzymał przed rozbitą szybą.

— Ciekawy jestem—rzekł niby do myśli swoich—coby to ludziom mógł szkodzić wielki majątek, który im Pan Bóg zsyła. Mogą więcej dobrego bliźnim świadczyć, swobodniej Boga chwalić i spokojnie dary jego spożywać, a jeżeli do królestwa niebieskiego bogaty człowiek musi się przepychać jak wielbłąd przez ucho igielne, to przecież mu się i tak sztuka udać może!

— To prawda—odpowiedział proboszcz—ale czasem się nie uda. Często zsyła Pan Bóg na ludzi bogactwa, aby ich cnotę

wypróbować. Bogaćstwo rodzi często pychę, a gdzie pycha tam już zły duch jest przy boku; omamia człowieka, mąci mu czysty źródło szczęścia i budzi w sercu różne zachcianki; rwie się złota przędza życia a zastępuje ją szych złudny; zacne uczucia nikną a natomiast rodzą się nieczne namiętności. Człowiek wtedy podobny jest do drzewa szarpanego burzą na wszystkie strony; traci liście zielone a suche konary nawet cienia znużonemu pielgrzymowi nie dadzą wreszcie spali je ogień a popioły roznieśnie wiatr na wszystkie części świata. I szukajże teraz złotych marzeń...

Obraz ten sprawił na wszystkich przykre wrażenie. Nawet proboszcz posmutniał a na twarzy miał jakby żal, że zawiele powiedział.

— Dobrze robisz, proboszczu—ozwał się pan Jędrzej po niejakiem czasie—że nas moderujesz w zapędach naszych. Przed chwilą zdawało mi się, że dla szczęścia naszej Heluni potrzeba koniecznie klucza Sosnowieckiego... teraz poprzestałbym na Jodłówce z przysiołkiem, byle tylko ten zły duch, o którym nie dawno wspomniałeś, nie chciał się do nas przyczepić. Jodłówka z przysiołkiem to zawsze ładny majątek.

— Lepiej zostawić sobie coś w gotówce—dodała pani Jędrzejowa—aby było na wydatki niespodziewane. Helunia jest wątłego zdrowia, trzeba będzie nieraz pojechać do wód morskich lub pod cieplejsze niebo.

— Słyszysz, proboszczu—zauważył z uśmiechem Jmć pan Jędrzej—już zły duch się odzywa.

Proboszcz uśmiechnął się smutno.

— To jeszcze mniejsze figle tego kusiciela... byle co gorszego nie chciał on płać i jakiej prawdziwej choroby nie spowodował. Ludzie powinni być zawsze na to przygotowani. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Zawiele było już tego panu Jędrzejowi. Podejrzywał proboszcza, że jego półsłówka coś ukrywają, że na coś chce go przygotować. Cóżby to mogło być? Czy zagraża im jakie nieszczęście? Niedobre przeczucie ogarnęło go ale nie miał odwagi wprost zapytać; obrócił się więc do szyby historycznej, przez którą zwykł był na świat patrzeć, gdy kłopoty domowe życie mu zatrzymały, gdy jejmość pieniędzy na różne wydatki żądała albo egzekutor rządowy po podatki przyjechał.

Szyba ta sprawiała mu w takich razach zawsze ulgę; pęknięta na dwoje trzymała się jeszcze dobrze w ramach, dając mu naukę, że i złamany człowiek powinien się prosto na nogach

trzymać. Przez nią widział dalekie góry obsiadłe ubogim ludkiem, który tak samo jak on z kłopotami życia łamać się musi. Na drodze do tych gór widział nowo wybudowaną karczmę, w której z sześciorgiem dzieci i dziesięciorgiem wnucząt mieszkał Lejba, wieloletni jego przyjaciel i doradzca; musiał to wszystko karmić i odziewać a jednak nie sarkał. Przeciwnie Jmć pan Jędrzėj coroku podwyższał mu propinacyą, a stary Lejba bynajmniej się za to nie gniewał. Nawet teraz przyszło na myśl dziedzicowi, czy za wydmy piaszczyste pod karczmą, które już teraz rzadką trawką porosły, nie możnaby podnieść czynszu... gdy nagle na drodze za karczmą podniósł się biały tuman kurzu i jakby za karę niedobrej myśli, wprost pędził na dwór.

Zaniepokoiło to pana Jędrzeja. Wichru właściwie nie było, zkadże te nagle tumany? Pan Jędrzėj przetaił rękawem szybę i zaczął się przypatrywać; biały tuman kurzu sadził prosto na dwór. Czy dyabeł, wywołany nieostrożnie przez proboszcza, najeżdża jego siedzibę? Cóż to jest?

Jeszcze pan Jędrzėj dobrze myśli swoich nie pozbiarał, gdy przed gankiem zagrzmiało i trzasło jak piorun... coś drzwi szeroko otworzyło i wichrem po pokoju zakreśliło.

Pan Jędrzėj chciał już krzyknąć z przestachu, gdy jakieś mgły i chmury zaczęły się szybko przed nim rozwijać a z nich, jak ongi Wenera z piany morskiej, wyłoniła się nieco garbata ale poczciwa i zacna pani Eufrozyna, sąsiadka.

Zacna sąsiadka pozrzucała z siebie różne pledy, chustki i gazy, i pospieszyła w objęcia pani Jędrzejowej, zostawiwszy w drodze dla pana Jędrzeja drobną rączkę do ucałowania. Skorzystal z téj małej pauzy proboszcz i z widoczném zadowoleniem wziął sporą szczyptę tabaki, w nadziei, że Jmć pani Eufrozyna wyrczy go w roli, która mu się zbyt trudną wydawała.

IV.

Przeczenie proboszcza spełniło się.

— No cóż—zawołała zaraz po pierwszym uścisku życzliwa sąsiadka, cóż wy teraz zrobicie? Skandal jakich mało, na waszém miejscu nie wiem sama cobym zrobiła. Mówiono mi, że już był tam trzy razy... raz przywiózł nawet pudełko cukierków — same różowe pomadki! Czy słyszycie... różowe pomadki! Mówił mi pan Wiktor, że nawet z pewném lekceważeniem odzywał się o waszym domu, Heluni przyczepiał różne łatki, nazywając ją królową polnych bławatków!... Pan Antoni powiedział mi pod sekretem, że mowa była nawet o pierścionkach, a na pocztę w Żurowie nadeszło już pudełko od jubilera! Oczyszcza z długów Pałaczyisko a dla siebie kupuje klucz Sosnowiecki!... Cóż wy na to wszystko? Ja na waszém miejscu umarłabym ze wstydu i zgryzoty... Pięć mil jechałam, aby was pocieszyć i dodać wam ducha... Wiem, że umiecie to ocenić, bo prawdziwa przyjaźń tylko w takich wypadkach może być ocenioną. O jakże mi żal biednej, niezrównanej Heluni! Czy ona nie chora, czy żyje jeszcze? Ja na jej miejscu jużbym dawno umarła. Jak można po takim skandalu ludziom w oczy patrzeć?

Pocziwa sąsiadka spojrzała po wszystkich litościwém okiem; a było też na co patrzeć. Jmć pani Jędrzejowa rozkrzyżowała ręce z wiszącymi na nich motkami włóczki; wyglądała jak drogoskaz na rozstajnych drogach. Otworzone usta nie mogły wykrztusić słowa.

Jeszcze gorzej wyglądał zacny pan Jędrzej; trzymał cybuch fajką do góry a drugą ręką odrywał pętlce od kapotki, jakby w piersi zabrakło mu powietrza.

Proboszcz żałował widocznie, że roli swojej odstąpił komu innemu. I była w tém racya. Pod gradem słów pani Eufro-

zyny mógł uledez najmężniejszy; niektóre z nich raniły jakby ostrzem zatrutém, inne ogłuszały i zabijały.

Kilka chwil trwało milczenie, zanim biedne ofiary życzliwości sąsiedzkiej mogły przyjść do siebie. Pan Jędrzej odechnął głęboko i otarł pot z czoła.

— Cóżto się stało?—zapytał blademi ustami.

— Ach powiedz pani, tylko prędko!—dodała pani Jędrzejowa ze łzami w oczach.

Pani Eufrozyna spojrzała z zadziwieniem; twarz jój ożywiła się wyrazem współczucia.

— Jakto, czyż wy o niczém nie wiecie? — zapytała.

— O niczém — westchnęli oboje małżonkowie.

— Czyż to być może?

— Nie bierz nas pani na tortury!

— Wy nic nie wiecie, podczas gdy ja pięć mil ztąd oddalona wiem o wszystkich szczegółach?... Nie, to być nie może! Gracie przedemną komedya, bo nie chcecie abym wam okazała moje szczere współczucie; wiem, że w takim razie często współczucie gorsze jest od szyderstwa, ale moję serdeczną życzliwość powinniście umieć ocenić. Kilka dni temu rozmawiałam z panią Antoniową o szczęściu Heluni, dodając, jak miłe w Sosnowcu będziemy mieli sąsiedztwo.

Pani Eufrozyna westchnęła i posmutniała; wyrwała ją z tego smutku żyłasta ręka pana Jędrzeja.

— Albo powiedz pani natychmiast co się stało, albo panią uduszę jak rogatego dyabła!—krzyknął w rozpacz.

— Teraz widzę — rzekła pani Eufrozyna, usuwając się nieco do proboszcza — że jestem pierwszym posłańcem złej wieści. Niedobra to rola; byłam nieogłędna w pierwszych słowach moich, ale któż temu winien? jak można nie wiedzieć, co się tuż przy nas dzieje.

— Zlituj się pani i powiedz co wiesz!—błagała pani Jędrzejowa.

— Pan Józef zaręczył się z panną Aurelią!

— Zaręczył się!!

— Nie powiem, że się zaręczył... ale wiem z dobrego źródła, że już są po słowie. Hrabianka mówiła to angielfce, która jest przyjaciółką naszej bony.

Pan Jędrzej wykonał całym swoim korpusem ruch wachadłowy.

— Już są po słowie!! — zawołał w rozpacz.

— Biedna Helunia! — wyjęknęła pani Jędrzejowa a lzy jak groch potoczyły się z jej oczu.

Jak na życzliwość sąsiedzką było to za silne wrażenie. Pani Eufrozyna posmutniała.

— Nie powiedziałam, aby już napewno byli po słowie, tylko bona moja jakoś się o tém dowiedziała, a ja przypuszczam, że od angielki. Gdyby nawet tak nie było, to nie zawadzi zwrócić uwagę, że się to stać może. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Otóż teraz dopiero jesteśmy na dobrej drodze—ozwał się proboszcz — do tego dążyłem właśnie, w czém mi przyjazd pani Eufrozyny przeszkodził.

— Więc i ty proboszczu, wiesz o tém? — wyjęknął pan Jędrzej.

— Ja to lepiej opowiem—przerwała pani Eufrozyna, siadając wygodnie w fotelu. Jak wam wiadomo, wziął pan Józef sukcesyjkę i ulokował ją u jakiegoś bankiera w Wiedniu, aby coś więcej jeszcze dorobić. Jest teraz moda robić w Wiedniu pieniądze, kupując te i owe papiery. Jmć pan Bolesław już tyle miał zarobić, że chce urządzać ordynacyą; otóż i panu Józefowi poszczęściło się—liczą go już na dwakroć stotysięcy...

— Po dzisiejszych kursach już więcej — dodał pan Jędrzej — uderzając pięścią w niemiecką gazetę.

— Gdy w Pałaczkach o tém się dowiedziano, zarzucono sidła na pana Józefa, na którego dawniej nawet nie raczono spojrzeć. Zaproszono go niby na polowanie, na polowaniu dano wystawny obiad a nawet do późna w noc tańczono. Aurelia miała suknię „bleu général”, jak mi o tém modniarka z Żurowa mówiła. Jest to teraz kolor bardzo modny, cesarzowa była w nim niedawno na wieczorze...

— Czy pan Józef rzeczywiście...

— Rzeczywiście tańczył z nią kontredansa, a w przestankach prowadził rozmowę bardzo ożywioną.

— Ale czy rzeczywiście?

— Rzeczywiście był tam raz i drugi a zawsze wyborny humor panny Aurelii wszystkich uwagę zwracał na siebie. Pani Antoniowa widziała nawet jak we framudze okna długo z sobą rozmawiali, poczem odpięła Aurelia bukiet z piersi i dała go panu Józefowi.

Nastąpiła pauza. Pan Jędrzej układał te wszystkie szczegóły w swojej zakłopotanej głowie, ale nie mógł jeszcze ich dobrze zrozumieć. Dopomógł mu ksiądz proboszcz.

— Jest pewném — zaczął oględnie — że w Pałaczkach zwrócono uwagę na pana Józefa, o którym się dowiedziano, iż ma już blisko pół miliona. Oczywiście Pałaczkom tego potrzeba, bo wycieczki do wód zagranicznych i podróże po Włoszech wiele kosztowały, a w zamian żadnego markiza ani nawet barona do polskiej ziemi nie sprowadziły. Z tego powodu miał Jmć pan Achil kilka mówek o patriotyzmie, włożył na głowę czapkę rogatą i sąsiadom, których dawniej nie znał, wizyty poproził. Mówią, że jest kandydatem do sejmu, zkąd ma nadzieję dostać się do Wiednia. Tym sposobem nastąpiło zbliżenie pana Józefa do panny Aurelii a nawet utrzymują, że pan Józef już wędkę z ładną ponętą połknął.

Pan Jędrzej machnął cybuchem aż fajka spadła i w drobne kawałki się rozprysła.

— Niech was jasny piorun trzaśnie! — krzyknął, aż historyczna szyba zabrzęczała — i ufajże to ludziom! Wszędzie czarna zdrada, brudne zabiegi, niewdzięczność i morderstwo!

— O morderstwie jeszcze nic mówić nie można — przerwała pani Eufrozyna — bo dopiero pojutrze ma się odbyć pojedynek.

— Pojedynek! — ozwały się naraz trzy głosy.

— Tak jest, pojedynek między panem Józefem z jednej a panem Karolem z drugiej strony.

— Chryste Boże! — zawołał pan Jędrzej — tego już za wiele! Można kompletnie zwaryować!

W tej chwili otworzyły się drzwi przyległego pokoju a na progu ukazała się postać Heluni. Miała twarz bladą, jakby rozkoszném marzeniem zmęczoną; oczy mgliły się, usta złożyły się do smętnego uśmiechu. Ciemnym włosom poświęcono więcej uwagi, chociaż tu i owdzie wylamywały się z pod korbów ostatniej mody; to samo było widać na sukni ciemno-zielonego koloru; była tam dążność do pewnych pretensyj, która była z góry nakazaną,

Helunia spojrzała na gości z pewném zadziwieniem, jakby nic o nich nie wiedziała. Trzymała w ręku bukietik robionych kwiatów.

Powitała uśmiechem gości i postąpiła naprzód.

Nikt nie wyrzekł do niej ani słowa; głucha cisza panowała czas niejaki. Nawet pani Eufrozyna nie umiała znaleźć słów aby po tém co przed chwilą mówiono, zawiązać rozmowę z biedną ofiarą.

Wreszcie zebrała się na odwagę

— Prześliczne kwiaty—rzekła—czy własnej roboty?
— Zgadnij pani, jakie ich przeznaczenie?
— Przeznaczenie?... przeznaczenie to fatalny wyraz dla nas biednych kobiet...

— Tym razem oznacza ono najwyższe szczęście...

— Szczęście często jest złudną marą...

— Ależ nie mów tak pani o moim... ślubie!

— O ślubie?

— Kwiaty te przeznaczam do świec, które na moim ślubie palić się będą... A co, czy ładne, księżo proboszczu?

Nikt na to nie odpowiedział. Ojciec stał jak posąg, matka patrzyła przed siebie jak obłąkana a proboszcz szukał uporczywie tabaki na zamkniętej tabakierce. Nawet pani Eufrozyna nie wiedziała co dalej mówić.

V.

Scenie téj przypatrywał się świadek, którego nie widziano: był to pies gończy z brunatnymi platkami. Sparł się łapami na oknie i przez szybę patrzył do wnętrza pokoju; pocziwie oczy jego uśmiechały się do Heluni i wpatrzyły się w białą rączkę, która nieraz karmiła go łakociami.

To Hulaj ulubiony pies pana Józefa; prawie zawsze towarzyszył mu do dworku, żaden postronek nie utrzymał go w domu, gdy pan jego wyjeżdżał.

Zkądże się wziął dzisiaj? Czy wyprzedził pana, który za chwilę w dworku się zjawi? Czy zapomniano o nim i jeść w domu nie dano? Czy głodny żebrze u Heluni kawałka chleba?

Hulaj nic nie powiedział. Patrzył jakiś czas przez okno do gościnnego pokoju, potracił kilka razy łapą szybę, zaskomlił nawet smutno — ale nikt go nie widział, nikt nie słyszał.

Smutny odstąpił od okna i zaczął wąchać ślady ludzkie po ziemi. Czy szukał śladów swego pana? Gdzież mu się podział? Na jakich nieznanych drogach znikł z jego oczu? Co go na te drogi zaprowadziło?

Z nosem przy ziemi okrążał Hulaj cały dwór dokoła; zbaczał na lewo i na prawo, ale śladów swego pana nie mógł znaleźć. Widocznie nie było go tu dzisiaj — pojechał gdzieś indziej.

Już chciał Hulaj do domu się wrócić, gdy nagle powąchał zdeptaną trawę i krętą ścieżką do ogrodu podążył. Na ścieżce były ślady, ale nie świeże; splukał je deszcz i wiatr liściem zasypał. Mimo to szedł pies za tym śladem, odgartując nosem naleciałe liście; wreszcie zatrzymał się, bo tu ślad się kończył. Przed nim była altana bluszczem ocieniona; zaczął

węszyc powietrze i wszedł do niej. Widocznie był tu niegdyś pan jego, siedział na ławce przed okrągłym stolikiem...

Hulaj obwąchał ławkę i stolik dokoła, ruszając na znak radości ogonem, jakby pana swego już znalazł. Sparł się łapami na ławkę, spojrział na stół—pana niema nigdzie. Hulaj zawył, a gdy mu nikt nie odpowiedział, spuścił nos do ziemi i poszedł dalej.

Kilka razy obszedł ogród dokoła a na drodze za furtką stał się jakoś weselszy. Ubiegł wężykiem kilkadziesiąt kroków a zaszczekawszy wesoło, puścił się prostą drogą.

Biegł teraz cwałem, tylko od czasu do czasu przyłożył nos do ziemi, aby się przekonać, czy nie zmienił kierunku. Biegł tak jedną godzinę i drugą. Drogi krzyżowały się nieraz ale Hulaj nie pomylił się; czuł zawsze, że idzie dobrze, wiedział, że jego pan tędy jechał.

Na schyłku trzeciej godziny stanął Hulaj u celu. Przez bramkę na czerwono pomalowaną, wszedł na obszerny dziedzińiec. Przed nim wznosił się gustowny pałacyk z wieżyczką na jedném skrzydle. Nad balkonem, otoczonym oleandrami, spuszczała się szara markiza; przed balkonem roztaczał się owalny gazon z grupami róż, goździków i bratków; na samym środku rozpościerał się dywan z żywych kwiatów; po obu stronach piętrzyły się rozmaite krzewy, zasłaniające budynki gospodarskie.

Hulaj obszedł gazon dokoła i zatrzymał się pomiędzy oleandrami pod balkonem. Na balkonie siedziała młoda blondynka o niebieskich oczach; miała białą suknię ubraną niebieskim atlasem; trzymała w białych paluszkach cieniutki papierosik. Na fotelu siedziała starsza nieco kobieta, dosyć dobrej tuszy. Rozmowa toczyła się przeważnie po francuzku.

— Nie wiem, moja droga, czy to dobrze będzie — mówiła starsza — zawsze jest to pewne ryzyko.

— Czy myślisz pani o tych milionach w kasie bankiera wiedeńskiego? — zapytała wesoło blondynka.

— Myślałam o panu Karolu.

Blondynka ruszyła białemi ramionami.

— Alboż ja temu co winna? Jeżeli ktoś sobie w głowie coś uroi — to cóż robić?

— To prawda, ale ztąd powstają różne plotki.

— Na plotki przecież zważać nie można, a zresztą któż te plotki powtarza? Ludzie, których ja nigdy nie widziałam i nigdy z nimi mówić nie będę.

Czy to prawda, co mówi pani Eugeniuszowa?

— Tyle tylko, że brał udział w naszej konnej wycieczce, bo też trzeba przyznać, że jeździ wyśmienicie. Chcieliśmy rów oboje przesadzić, a gdy mój Byron nieco się potknął, p. Karol podał mi rękę, abym równowagi nie straciła.

— A potem?

— Cóż potem?... potem... pocałował mię w duńską rękawiczkę. Oto wszystko!

— Pani Eugeniuszowa słyszała, że ci się oświadczył.

— Zwykle frazesy, jakimi się bawimy nie tylko na łonie natury, ale także i w salonie przy matkach i ciotkach.

— Widać, że pan Karol inaczej to sobie wytłumaczył.

Blondynka zaciągnęła się papierosem.

— To już nie moja wina!

— I zkadże mu przyszło szukać awantury z panem Józefem?

— Myślał zapewne, że tém serce moje podbije, kiedy uśmierci szczęśliwego rywala.

— Tak obojętnie mówisz o tém, Aurelio?

— Ani jeden ani drugi nie obchodzą mię wiele; jeszcze żadnemu z nich nie obiecałam mojej ręki. Wprawdzie jest tatko stanowczo za panem Józefem, ale na to składają się różne względy, które są dla mnie obce. Dzisiejsze stosunki kraju pozwalają dobić się różnych stanowisk, do których wiąże się dawna nasza tradycja. Tatko poczuwa się także do swoich obowiązków i chce zbliżyć się do tych, których głosy w powiecie coś znaczą. Bez szeregowców oficerowie nic nie zrobią.

— To prawda — o szeregowcach zapominaliśmy dosyć długo; dobrze, że nasz błąd poznajemy.

— Mnie te względy nic nie obchodzą. Pan Józef Strzemię nie jest znowu ostatnim szeregowcem; ród stary, spokrewniony z senatorami; dotego powierzchowność sympatyczna i światowa. Gdy się wżyje w nasze zwyczaje i obyczaje, będzie skończonym gentlemanem.

— Nie przeczę temu.

— Ojciec mówi, że pan Józef traktuje o kupno klucza Sosnowieckiego. Rozumie się, że przed tém ani myśleć o deklaracji. Dziwnieby to dzisiaj wyglądało, gdyby się rozniosło, że panna Aurelia wychodzi za pana Józefa z Olszynki, ale niech pan Józef nabędzie Sosnowiec z parkiem i pałacem, niech pałac odrestauruje i stosowną służbą go napelni... wtedy nawet pani Eugeniuszowa ze słodziutkim uśmiechem poda mi dwa

palce i rzeknie: Jakaś ty śliczna!, a o panu Józefie powie: To chodząca dystynkcyja!

Nastąpiła pauza.

— Gdyby tylko nie przyszło do pojedynku. Pan Karol chce go zapewne nastraszyć.

— Nie radzę mu, żywo odpowiedziała blondynka. Nie dawno znam pana Józefa, ale wiem, że przed nikim nie ustąpi. Głośną jest w okolicy drażliwość jego w sprawach honoru, a bliżni na czole świadczą, że się szabli i kuli nie boi. To właśnie najwięcej mi się w nim podoba; to oznacza dobrą krew.

Kilka chwil trwało milczenie. Blondynka bawiła się sinym dymkiem cygareta, który jak wąż pajęczyna okrążał jej piękną główkę, napelnioną złotymi marzeniami. Błękitne jej oczy ścigały pajęczynę, która rwała się i napowrót wiązała w łańcuchach misteryj; wietrzyk szanował te ogniwa.

W powietrzu była cisza. Hulaj spokojnie leżał pomiędzy oleandrami, tylko od czasu do czasu strzygł uchem, czy nie usłyszy na balkonie głosu swego pana. Był pewny, że tam jest, bo czuł wyraźnie na ziemi świeże jego ślady, a gdy mu już za długi się wydawało, zaskomlił raz i drugi.

Biedny Hulaj! Usłyszał go ogrodniczek i z długim kijem pospieszył pod balkon.

Pies spojrział na niego z zadziwieniem. Przedwczoraj dopiero tenże sam ogrodniczek pogłaskał go, a przed jego panem zdjął czapkę aż do ziemi; dzisiaj wypędzają go a nawet grożą kijem...

Hulaj, jako doświadczony strategik, wytrzymał na placu aż do granicy niebezpieczeństwa. Gdy kij mógł go już osiągnąć, zerwał się na nogi, szczeknął kilka razy na znak protestu i wybiegł klusem za niegościnną bramę.

Blondynka usłyszała szczekanie i wyjrzała z balkonu.

— A! to pies z Olszynki — zawołała — dziwna rzecz, był tylko raz z panem Józefem, a już się znęcił tutaj. Trzeba Pawelku, abyś go dobrze obił, inaczej będzie robił szkody w ogrodzie.

Ogrodniczek Pawełek chciał jeszcze teraz życzeniom panny Aurelii zadość uczynić i cwałem puścił się za bramę, ale Hulaja już nie dopędził. Skończyło się na kilku kamieniach, które jednak psa nie trafiły.

Gdy już Hulaj był za linią nieprzyjacielską, zatrzymał się i spojrział na czerwony dach pałacu. Zapewne zastanawiał się nad tém, dlaczego w górskim dworku pana Jędrzeja nikt na

niego kija nie podniósł, a tu chciano targnąć się na jego szacunek, jaki posiadał u wszystkich psów w okolicy.

Nie długo jednak zastanawiał się nad tém, bo mu pilno było do swego pana. Zakręcił się w kółko i zaszczykował radośnie: znalazł znów ślad tak świeży, jakby dopiero przed godziną ktoś tędy jechał. Cwałem puścił się, naszczekując wesoło od czasu do czasu.

Droga była szeroka i dobrze utrzymana; środkiem wyrzynała się kolój świeżo kutego wózka o wystających gwoździach. Hulaj znał dobrze te gwoździe i podskakiwał z radości, że już teraz pana znajdzie. Czasami tylko gdy jaki pastuszek kamieniami za nim rzucał, ogarniał go jakiś niepokój; ludzie są czasem źli, a pana jego może takie same spotkać nieszczęście, jakie spadło na niego w tej chwili.

Droga szła dalej doliną po nad potokiem, ale tuż pod figurą skończył się ślad wózka. Hulaj zatoczył szerokie koło, skręcił się pod figurą na wąską, leśną drożynę; znał tę drożynę, bo często bywał tu z panem swoim na polowaniu. Pędem pobiegł w znane mu dobrze krzaki.

Nie omyliło go przecucie. Usłyszał dwa strzały i zaczął strzydz uszyna; po chwili puścił się w kierunku strzału.

Po nad potokiem leżała mała polanka. Na polance było kilku ludzi; dwóch z nich stało o dziesięć kroków naprzeciw siebie, trzymając w ręku pistolety.

Hulaj poznał swego pana; kilkoma susami był na jego piersi. Zaskomlił przeraźliwie z radości, oblizal mu ręce i już chciał skarżyć się ze wszystkich utrapień swoich, które go w drodze spotkały, gdy nagle ujrzał przeciwnika, który pistolet do góry podnosił. Z wściekłością rzucił się na niego.

— Zastrzelić psa! — zawołał jeden ze świadków.

— Wara panowie! — krzyknął pan Józef — kto do psa strzeli, ten zemną strzelać się będzie. Hulaj do nogi!

Zajadły piès umilkł jak baranek a przyczołgawszy się do pana, legł u nóg jego.

Pan Józef spojrział groźnie na przeciwnika; miał twarz czerwoną, żyły na czole wyprężone. Postawa jego oznaczała dumę i odwagę; blizna na skroni nabiegła krwią, jakby się chciała na nowo otworzyć.

— A więc strzelamy! — zawołał podnosząc zabójczą lufę do góry.

Dwóch świadków weszło pomiędzy walczących.



— Zdaje się — przemówił jeden — że dla honoru już dosyć uczyniono. Strzały na dziesięć kroków wystarczają; chybiły szczęśliwie, a teraz podajcie sobie ręce.

— Tego zdania i ja jestem — dodał drugi.

Pan Józef spojrział na przeciwnika. Był to blady młodzieniec o płowych włosach; patrzył na pana Józefa z pewnym uśmiechem sarkastycznym, jakby się dziwił zkąd w nim taka odwaga.

Podrażniło to pana Józefa; zawrzała w nim krew, a silna ręka zadrżała z pistoletem.

— Nigdy nie strzelałem się tak, abym ja, albo mój przeciwnik cały z pojedynku wychodził. Strzeżę to klejnot nie gorszy od Sasa! Za marne życie nie sprzedaje się takiego skarbu; proszę o komendę do strzału!

— Zważ pan, że masz narzeczoną!

Twarz pana Józefa poczerwieniała jeszcze mocniej, ściśnięte usta zadrgnęły kurczowo.

— Nie chodzi tu o narzeczoną — odrzekł chmurnie — ale w ogóle o honor kobiety. Każdy powinien jęj bronić gdy usłyszy słowa obrażające. Proszę o komendę do strzału!

— Ależ pan Karol wcale jęj nie obrażał — odparł jeden ze świadków — tylko sam pan widziałeś w tém ubliżenie.

— Wygląda to tak — dodał drugi — jakby w intencji pana było koniecznie się strzelać.

— Taka sama intencya — zauważył trzeci — mogła być po stronie pana Kàrola.

— Więc strzelajmy się!

Świadkowie odstąpili na bok, przeciwnicy podnieśli broń do góry; Hulaj położył łeb na ziemi, śledząc uważnie przeciwnika.

Pan Józef strzelił pierwszy — w tęg chwili pociągnął przeciwnik za cyngiel...

Hulaj odgadł jego zamiar i jednym susem podskoczył do góry...

Padł strzał... biedny pies zatoczył się i runął u nóg pana.

— Strzał był celny — zawołał jeden ze świadków — ale pies schwycił go.

Pan Józef spojrział na psa, który w bólach śmiertelnych leżał przy jego nogach. Nie skarżył się jednak, nie skomlił; wlepił w pana pocziwe czarne oczy swoje, w tych oczach jaśniała nawet radość, że mu życie ocalił. Kochał on wiernie pana swego i dzisiaj kona u nóg jego. Biedny Hulaj!

— Poczciwe psisko—zawołał pan Józef z głębokim smutkiem — wierny Hulaj!

Pochylił się nad psem i pogłaskał. Hulaj poczuł ciepłą rękę i chciał zaskomlić z rozkoszy, jaką uczuł w téj chwili, gdy nagle kurcz śmiertelny wyprężył mu nogi, a światło czarnych oczu zaczęło przygasać. Jeszcze raz otworzył je, przycisnął łeb swój do ręki pana i zadrgnął po raz ostatni...

Łzy zabłysły w oczach pana Józefa... podniósł się szybko od ziemi.

— Strzał ten był nieważny—zawołał ponuro—miał mnie trafić, ale poczciwy pies przeszkodził. Strzelajmy na nowo!

Daremne były perswazyje świadków, zapaśnicy stanęli znowu do walki. Widoczném było, że właściwe powody pojedynku sięgały głębiej niżeli o tém na placu boju mówiono.

Powtórzono strzały tym razem nie bez skutku; obaj zapaśnicy odnieśli lekkie rany: jednemu drasnęła kula rękę, drugiemu nogę.

Uznano spór za skończony i rozjechano się. Na placu boju pozostał tylko pies z otwartemi czarnemi oczyma, któremi zdawał się patrzeć na słońce zachodzące. Kilka leśnych ptaków siadło na gałęzi poblizkiej sosny i cierkając smutno, przypatrywało się nieznanemu bohaterowi; polne dzwonki wychyliły się z trawy ku niemu a z wszystkich stron polanki wyruszył rój grabarzy, aby nieboszczykowi sprawić pogrzeb przyzwoity.

W powietrzu była cisza uroczysta, tylko strumyk górski mruczał po kamieniach.

VI.

O małą milkę od tego ustronia bieleje domek mały. Na ganku siedzi młody mężczyzna z podpartą głową; patrzy przed siebie zamysłony. Przed nim wije się droga do góry, przeskakuje potok kilka razy i gubi się w zielonym lesie.

Przy nim siedzi kobieta starsza.

— Nie wypieraj się, Józefie — mówi do niego — bo to wszystko jasne jak na dłoni. Sam siebie oszukujesz i chcesz wmówić w nas co innego.

Pan Józef potarł ręką czoło i odetchnął głęboko.

— Przyznam ci się — odpowiedział po chwili — że sam siebie nie poznaję. Coś się ze mną dzieje, coś mi świat przed oczyma zamąca; jakieś widma nęcą i straszą mię zarazem.

— Nic dziwnego, pojedynkę cię rozdrażnił. Jeszcze nie uspokoiły się twoje nerwy.

— Alboż mnie to pierwszyczna?

— Wiem o tém, ale wrażenie pozostaje zawsze czas niejaki.

Kilka chwil trwało milczenie; brat i siostra patrzyli w zamysleniu na podwórko. Leżały tam różne sprzęty gospodarskie, świadczące o niepomyślnój walce rolnika z naturą. Przy małej studziencie stał wóz z dyszlem złamanym o trzech kołach, czwarte leżało obok z pękniętém dzwonem; jakiś próg skalisty nie pozwolił rolnikowi dojechać do celu, a wehikuł gospodarski poszedł do zaimprovizowanėj infirmaryi. Krzątał się koło niego chłop dobrze siwy, w szarėj koszuli, pukając siekierą po wszystkich członkach jego, czy nie są gdzie złamane. Przypatrywało się tój operacyi stado ciekawych prosiąt; wóz ten przywoził im nieraz różne delikatesy z poblizkiego ogrodu — dzisiaj stoi próżny i na duchu jakoś podupadły. Lepiej poradziły sobie gęsi; nie znalazłszy nic na wozie mimo skrzętnych

poszukiwań, poszły do dziurawego koryta i piją wodę, jakby po smacznym obiedzie. Wszystko to obserwuje zdala wół roboczy, zadumany jak filozof ze szkoły stoików; wół ten ciężko dał mu się we znaki, czego dowodzi ciemna smuga od jarzma na szyi; dzisiaj wypoczywa biedny niewolnik, bo despota raczył sobie członki połamać. Stojące przed stajnią woły w jarzmie, które od świtu mierzwę na górę wywożą, patrzą z pewną zawiścią na wolnego towarzysza, któremu ta chwila swobody tak się podoba, że nawet rzuconej pod nogi trawy jeść nie chce.

Taki obraz roztaczał się przed gankiem górskiego dworku; był on może malowniczy w duchu szkoły flamandzkiej, ale dla górskiego rolnika był tylko dowodem, że ziemia jego nie jest eldoradem gospodarstwa.

Sytuacja ta pogorszyła się jeszcze znacznie, gdy z ciasnego dworku wyszły trzy starsze kobiety i w równych odstępach obeszły podwórze dokoła. Jedna miała żółtą chusteczkę na głowie, druga liliową a trzecia, z resztkami czarnych włosów, czerwoną. Jedna prawiała coś prosiętom, że dużo jedzą; druga to samo wyrzucała gęsiom, a trzecia gniewała się na wołu, że chwastu z ogrodu jeść nie chce, tylko na siano sobie zęby ostrzy.

Po tym epizodzie nastąpiła druga scena. Dwie młode dziewczynki wypadły z sieni i zaczęły na wyścigi biegać po trawie; trzy ciocie napominały je do oszczędzania nowych bucików, które dopiero co przywiózł pachciarz z Żyrowa. Oprócz tych widomych mieszkańców małego dworku, słychać jeszcze było w wewnętrznych komnatach inne poważniejsze głosy, wychodziły one swobodnie przez małe otwarte okienko i dostawały się wyraźnie do uszu siedzących w ganku osób.

— Chciałabym jaknajprędzej tego doczekać—mówił głos starszej kobiety — aby na starość spocząć sobie wygodnie. W kłopotach gospodarskich niszczy się tylko zdrowie; jak nie ma pani Antoniowa młodo i dobrze wyglądać, jeżeli cały dzień w puchach leży, po dywanach chodzi i co roku do wód zagranicznych jeździ. Na balach dobijają się młodzi kawalerowie o nią do tańca. Ale kto od rana do nocy musi ze stajni do chlewa chodzić, na dziewczki krzyzczeć i jeść co Bóg dał, ten musi się przed czasem postarzeć. Gdybym choć rok tak żyć mogła jak żyją w Pałaczkach!

— Coś aspani od dwóch tygodni często o tych Pałaczkach mówi—odpowiedział głos starszego mężczyzny—a ryba od głowy śmierdzi. Nie tylko jedna, druga i trzecia ciocia

o tém papla, ale nawet Jędrak, jak sam slyszalem, mowil cos o tém do Maryanny; pocóz to takie rzeczy po domu rozprawa-
dzać, jeżeli one nie mają sensu. Józef ma już narzeczoną, a je-
żeli zapragnie pałacu, to mieć go będzie, bo ma za co kupić.

— To prawda, ale co innego jest kupić a co innego wejść
do gotowych już stosunków pałacowych. Na człowieka, który
się czegoś sam dorobi, patrzą zawsze ludzie z góry, jak na do-
robkiewicza; gdy zaś, choćby za swoje pieniądze wejdzie do
znaczniejszego rodu, to stanie odrazu na wyższych nogach.

— Aspani zawsze masz swoje! Jest to miło być w sto-
sunkach z ludźmi zajmującymi wyższe stanowisko, ale dobijać
się tak bardzo o to nie warto. Każdy jest panem na swojej
grzędzie.

— Czyż to majorowi nie pochlebiało, gdy pan Edmund
z panem Achilem na wyścigi chcieli mu przedwczoraj fajkę za-
palić, której na długim cybuchu nie mógł już dojrzeć.

— Usługa taka należy się weteranowi.

— Czemuż taka sama usługa pochodząca od pana Ję-
drzeja lub Wojciecha nie wprawiła go w tak dobry humor?
Opowiadałeś wać o tém dziesięć razy księdzu proboszczowi
w przeciągu jednej godziny, a stąpałeś przy tém tak hardo jak
kogut z Kochinchiny pomiędzy polskimi kurami...

— Pani nie zapomniała jeszcze żartów, a czas by już
było zamienić je na wielkopostne medytacje.

— To samo mogę powiedzieć i majorowi.

Śmiech tubalny rozległ się teraz z małego okienka,
a za nim wysunęła się biała chmura dymu, aż wół roboczy
ocknął się ze swego zamyslenia.

Słów tych jednak tak wyraźnych nie slyszala para sie-
dząca na ganku; mimo to rozmowa, jaką teraz brat i siostra
między sobą prowadzili, nawiązywała się dziwnie do tego,
o czém mówiono wewnątrz domu; widać, że w całym dworku
panowała jedna atmosfera.

Pan Józef obmacał rękę obwiązaną czarną chustką.

— Czy cię boli?—zapytała troskliwie siostra.

— Skóra zadraśnięta, nic więcej—odpowiedział pan Jó-
zef z uśmiechem—któżby o takich ranach myślał? patrzę tylko
czy się krew nie sączy.

— Szczęście, że się na tém skończyło... ale zawsze przy-
chodzi mi do głowy pytanie, czy to wszystko było potrzebne,
jeżeli...

Pan Józef rzucił się niecierpliwie na ławce.

— Powiadam ci Anusiu—przerwał siostrze—że tego nigdy nie zrozumiesz, choć jesteś starszą odemnie.

Siostra położyła rękę na jego ramieniu.

— Właśnie dlatego, że jestem starszą, rozumiem to lepiej od ciebie; przed chwilą dopiero powiedziałeś, że sam siebie nie rozumiesz. Otóż powiem ci wyraźnie...

— Cóż mi powiesz?

— Że ty... Heleny nie kochasz.

— Nie kocham Heleny?—powtórzył pan Józef, a twarz jego oblała się szkarłatnym rumieńcem.

— Nie kochasz jój!

— Wszak Helena moją narzeczoną.

— Między narzeczoną a tobą... stanęła teraz Aurelia.

— Czyż to nie byłoby podle z mojej strony?

Przy tych słowach spojrział pan Józef z uwagą na siostrę. Panna Anna zaczęła się bawić rąbkami białego fartuszka.

— Tak mówi honor i rozsądek... ale serce...

— Serce... serce—przerwał gniewnie pan Józef—któżby znów sercu pozwalał na wszystkie jego wybryki.

Westchnął przy tém głęboko. Siostra milczała.

— Serce—mówił dalej w rozdrażnieniu—serce buntuje się czasem przeciw obowiązkom przyjętym...

— Już źle, że mówisz o obowiązkach.

— Ależ zlituj się, przecież każdy ma pewne obowiązki i musi się z nimi liczyć.

— Od zamiaru do obowiązku jeszcze daleko.

Nastąpiła długa pauza. Pan Józef patrzył zamyślony na wołu bez jarzma i towarzyszy jego w jarzmie, jakby chciał sobie bliżej słowa siostry wytłumaczyć.

— Nie ty jeden—mówiła siostra po chwili—doświadczasz tego; złożyły się na to warunki wyjątkowe.

Pan Józef potarł ręką po czole, ale siostrze nic nie odpowiedział. Siostra mówiła dalej.

— Babunia, jako głowie osieroconej rodziny, zapisała ci znaczny kapitałik. Przedtem nie miałaś odwagi pomyśleć o pannie Helenie; rodzice Heleny nie mają wprawdzie wielkiego majątku, ale dla jedynaczki swojej myśleli o lepszym losie niżeli ty jój zgotować mogłeś. Sukcesya dodała ci odwagi, żeś się mógł zbliżyć do Heleny, chociaż nie przypuszczam, aby to tylko zniewoliło jój serce.

— Przeciwnie, wiem o tém, że Helena jeszcze przed sukcesyą bardzo mi sprzyjała.

— Nie przeczę temu; nie każda kobieta kocha wtedy, gdy czuje pieniądze.

Pan Józef posunął się niespokojnie na ławce.

— Tymczasem zmieniają się kulisy; wchodzisz w stosunki z bankierem wiedeńskim i zręczną spekulacją pomnażasz swój kapitał w krótkim czasie; stajesz się nagle bogatym i kto wie, na czém się twoje bogactwo zatrzyma. Przed miesiącem mówiłeś o kupnie Jodłówki, dziś myślisz o kluczu Sosnowieckim; sprawy publiczne zbliżyły cię do Pałaczkowskich, gdzie cię przyjęto z otwartymi rękami; dawniej nie proszono cię tam wcale, ani ty nie marzyłeś o tém, że przekroczysz kiedy te progi. Nic dziwnego, ty jesteś dzisiaj bogatym—tam czują tylko ciężary banków.

— Więc mówisz — poderwał szybko pan Józef — że pan Achil w téj myśli?...

— Mogę tak nie mówić... mogę wierzyć, że pan Achil nie miał żadnej myśli ukrytej, gdy cię na polowania i na obiady zapraszał, gdy wreszcie sam nas odwiedził i wszystko u nas chwalił. Jakkolwiek pan Achil nie ma prawa do tytułu arystokraty, chce jednak nim być koniecznie; pomagają mu do tego stosunki familijne i różne koneksye towarzyskie. Z tego powodu naśladuje dobre przymioty pańskie, a do nich przedewszystkiém należy wielka grzeczność dla tych, którzy progi jego pałacu przekroczyli.

— Więc sądzisz, że oprócz téj grzeczności nic nie było? że to wszystko...

Panna Anna milczała chwilę.

— Myślę — rzekła z naciskiem — że to, co potem z tego wywiązać się mogło, było tylko naturalném następstwem waszego zbliżenia.

Pan Józef powstał szybko z ławki i wyszedł na dziedzińiec; zbliżył się do chłopca, który wóz naprawiał. Po chwili, zwrócił się w inną stronę, jakby gospodarstwa chciał doglądać. Siostra z uwagą patrzyła za nim.

Tymczasem z sieni wyszła stara kobieta, rysami podobna do pana Józefa.

— Czy mówił co Józef do ciebie?—zapytała.

— Tak jakby nie—odpowiedziała matce panna Anna.

— Rzecz dziwna, że wszystko w sobie tłumi.

— Już taka jego natura.

— Od kilku dni zmienił się zupełnie.

— Każdy to widzi.

— Mogłabyś z nim otwarcie pomówić i ułatwić mu walkę, która się w nim odbywa.

Anna ruszyła ramionami.

— Sądzę—mówiła dalej matka—że jakoś lepiej by to wyglądało, gdyby Józef ożenił się w Pałaczkach; widocznie życzą sobie tam tego. Pan Jędrzej złapał go głównie dla sukcesyi; gdy nie było sukcesyi, nikt na niego nie patrzył; jeżeli już dał się złapać, to lepiej aby go złapano w Pałaczkach. Jest już wszystko gotowe, jest pałac, są koneksye i ton pański. W Konopówce musiano by się dopiero uczyć tego; nie wiedziano by jak dom urządzić, jak się ubrać, zgoda jak żyć stosownie do majątku. A coby to było krzyku i hałasu w trzech powiatach, gdybyśmy do Pałaczk weszli! Wielu rozchorowałoby się z zardrości.

Zacna owieczka górskiej parafii podniosła swój już i tak mały nosek do góry i zamarzyła o przyszłej roli swojej.

— Józef widocznie nabił sobie głowę panną Aurelią—rzekła po chwili panna Anna—i nie dziwnego; inna atmosfera domu, pański obyczaj, chociaż z wysiłkiem podtrzymywany i przyjacielskie prawie zbliżenie się ludzi, na których dotąd zdaleka patrzył, mogły wywrzeć na nim pewne wrażenie. Aurelia sama, jako roślina, która pod obcym niebem wzrosła, mogła mu się więcej podobać niżeli jaki kwiatek swojski; umie rozmawiać, ma ładne oczy a co więcej, umie niemi patrzeć. Helena może być najzaczniejsza ale tego nie potrafi. W Konopówce jest Józef jak w domu u siebie; podczas gdy atmosfera w Pałaczkach odurza go. Jest jednak zapoczcziwy, aby z Heleną zerwał.

— Przecież często rozchodzą się narzeczeni; zresztą nie było formalnych zaręczyn, zamieniono tylko poufnie pierścionki; sądzą, że to nie tak bardzo obowiązuje.

Pan Józef zwrócił się teraz do ganku. Założył w tył ręce i głowę do ziemi pochylił. Matka cofnęła się do sieni, zostawiając córce dalszą misję dyplomatyczną. Pan Józef zbliżył się.

— Czy sądzisz—rzekł zaraz na progu do siostry—że w Pałaczkach nie miano żadnej z góry powziętej myśli?

— Nie mam dowodu, abym sądziła inaczej.

Pan Józef stał chwilę w milczeniu, potem usiadł na ławce.

— Przyznam ci się, że nie wiem co począć; mam to przekonanie, że Helenę kocham a jednak coś jak wicher ciągnie mnie w inną stronę; widzę przed sobą jakiś świat inny, zaczar-

wany i, upojony tym czarem, patrzę w niego z jakimś pragnieniem niewysłowioném.

— Czy panna Aurelia rozmawiała z tobą o czémś więcej aniżeli o rzeczach potocznych?

Pan Józef machnął ręką.

— W jej słowach jest wszystko czego chcesz; dodaj do tego głębokie spojrzenia, dziwny dźwięk głosu i tę grę życia na twarzy, podwyższoną uśmiechem sympatycznym, a będziesz miała przed sobą kobietę, która już kocha i pragnie tylko być kochaną; widzę ją ciągle przed sobą i czuję, że się od niej oddalić nie mogę.

Pan Józef podparł ręką głowę i zamyślił się.

W tej chwili prawie równocześnie wjechało do bramy dwóch konnych posłańców; pan Józef podniósł głowę i poznał w jednym Grześka stajennego z Konopówki, w drugim takiego samego funkcjonariusza z Pałaczkowskiego; była tylko ta między nimi różnica, że jeden był bez czapki, w górskim serdaku, drugi miał czapkę liberyjną i taką kurtkę.

I równocześnie spoczęły w ręku pana Józefa dwa listy starannie zapieczętowane.

— Co porabia panna Helena? — zapytała Anna jednego z posłańców.

— Pannuńcia coś nie domaga — była odpowiedź — położyła się do łóżka.

— A jak się ma panna Aurelia? — powtórzyła zapytanie do drugiego.

— Wyjechała konno do lasu — odpowiedział.

Pan Józef nie słyszał tych odpowiedzi; wstał szybko i z listami odszedł do swego pokoju. Anna słyszała, jak drzwi za sobą na klucz zamknął.

VII.

Pan Józef rzucił się na sofkę i położył przed sobą dwa listy; kilka chwil patrzył na nie, jakby się namyślał, któremu dać pierwszeństwo. Wziął list z Konopówki do ręki, na którym poznał rękę pana Jędrzeja.

„Nie uwierzysz kochany sąsiedzie — pisał pan Jędrzej drżącą ręką — jak wielce jesteśmy zaniepokojeni. Przyszła do nas wiadomość o pojedynku z różnemi dodatkami. Nie pisać o tém w liście, lepiej ustnie się rozmówić. Jesteśmy na wszystko przygotowani, ale sprawa musi stanąć jasno. Proszę nas jeszcze dzisiaj choć na chwilę odwiedzić — inaczéj będę zmuszony wysłać drugiego posłańca z drugim, ale odmienném za-
pytaniem. Życzliwy sługa Jędrzej.”

Pan Józef przeczytał ten list kilka razy. Gorzki uśmiech otoczył jego usta.

— Grożę zerwaniem — rzekł do siebie i zamyślił się.

Myślom swoim poświęcił czas niejaki; były one w Konopówce przy Helenie. Oczy jego błyszczały łagodnym światłem, na twarzy było widać spokojne zadowolenie; przypominał sobie przyjemne chwile swego szczęścia. Wyraz twarzy zaczął się zmieniać; złowrogi uśmiech pojawił się na niéj.

— Cóż to za miłość — rzekł do siebie — jeżeli tak prędko może się rozerwać... jeżeli lada wieść fałszywa może ją w sercu zgasić. Jeszcze nie powiedziałem a już grożę odesłaniem pierścionka. Nie, to nie jest miłość, to był interes o sukcesyą!

Po tym korzystnym wstępie dla drugiego listu, z pewną gorączką rozłamał pan Józef drugą pieczęć.

Pismo było spokojne, ręka pewna.

„Kochany panie Józefie — pisał z poufałością serdeczną pan Achil — nie mogę odmówić sobie téj przyjemności, aby ci

powinszować tak szczęśliwie zakończonej katastrofy. Daleś dowód rycerskiej odwagi, gdzie idzie o honor słabiej ofiary; Aurelia wypowie to lepiej odemnie, jeżeli żywy okażesz się jej oczom. Paroksyzm był tak silny, że dotąd jeszcze nie wierzy naszym uspokojeniom i ciągle widzi cię przed sobą we krwi, bez nadziei życia. Obecność twoja będzie najlepszym dla niej lekarstwem, a dla nas wielką przyjemnością ujrzenia i uściskania w naszych progach zawsze upragnionego gościa. Z prawdziwą życzliwością. Achil Łodzia.”

Twarz pana Józefa ożywiła się po przeczytaniu tego listu jeszcze więcej; powtórzył czytanie z widocznym upodobaniem. Wstał po chwili, wyprostował się i zaczął chodzić po pokoju.

Kroki jego były coraz szybsze. Przyjemne obrazy biegały mu przed oczyma; chciał je dosięgnąć i prędko ująć, ale one oddalały się coraz więcej. Przyspieszał kroku, jakby się obawiał, aby mu nie uciekły; wreszcie zdawało się, że je ujął, że je trzyma już w ręku i szczęściem swoim się napawa...

Twarz jego pokryła się gorączkowym rumieńcem, oczy błyszczały jasno, tętna biły na skroniach widocznie.

Trwało to czas niejaki. Widział wysokie komnaty pałacu... w jednej z tych komnat spotkał bladą, eteryczną kobietę, która zapłakanemi oczyma patrzyła na niego... Widział tę wątłą postać rzuconą niedbale na szesłagu w jasnej, powiewnej sukni, widział jak ta kobieta wyciąga do niego małą rączkę, dotyka się jego rany nieznacznej i wyrzuca mu, że stawil na kartę drogie życie swoje... Czuje ciepło aż w sercu, które zaczyna bić gwałtownie.

— Tak, ja ją kocham — myśli sobie.

Chodzi dalej po pokoju. Jakiś rozkoszny narkotyk nastroja jego nerwy do ruchu; nie może nawet zatrzymać się przy stole, na którym leży list z Konopówki; coś go od niego odtrąca.

Aurelia musi go teraz bardzo kochać; strzelał się za nią, a któraż kobieta może być w takim razie obojętną?

Wreszcie zwolniały jego kroki, zatrzymał się przy stole; spojrzal na list z Konopówki, wziął go do ręki i jeszcze raz odczytał.

— Dlaczegoż—zapytał—niema w tym liście nic o Helenie? Czyż ona tak spokojnie przyjęła wiadomość o moim pojedynku? Czy wysłuchawszy wzięła się do przepisywania recept kucharskich?... Pisz pan Jędrzej, że wiadomość ta nadeszła do

nich z różnemi dodatkami... Czyż dodatki te nie sprawiły na Helenie żadnego wrażenia?

I znowu zaczął chodzić. Tym razem był w niskich pokoikach Konopówki. Wszystkie sprzęty tych pokoików stawały mu koleją przed oczyma... widział niebieską kanapę, na której zwykła siadywać pani Jędrzejowa. Miała robótkę w rękę i uparcie w nią patrzyła; dozwalało mu to zagłębić się wzrokiem w ciemne oczy Heluni, które z tego powodu musiały się do połowy przykryć długą rzęsą, co go jeszcze większą napawało rozkoszą... Widział pana Jędrzeja, który często do historycznej szyby się zwracał i przez nią na świat patrzył się zdawał, aby tylko nie przeszkadzać młodej parze swobodnego gruchania... Widział ogródek skromny i grządki kwiatów ręką Heluni pielęgnowanych... i tę altankę gęstym bluszczem porośłą, w której poczciwy Hulaj niedawno go szukał...

Przypomniawszy sobie wszystkie te piękne chwile, nad które wtedy nic piękniejszego nie było dla niego...

Nagle jakaś mgła, jakby para wody letejskiej, przesunęła się przed jego oczyma... Z poza tej mgły otworzył się nowy obraz; widział sąsiadów swoich, którzy tłumnie cisnęli się do niego... nawet ci, którzy go dawniej znać nie chcieli, podawali mu rękę i po przyjacielsku z nim się witali. On stał na ganku pałacu... przy nim stała wysmukła blondynka, a za nią uśmiechał się szczęśliwy pan Achil z angielskimi bakenbardami; opodal roili się krewni i przyjaciele jego żony z różnemi tytułami; cały powiat zazdrościł mu takich koneksyj, o których dawniej nie marzył. Na żonę jego wszystkie sąsiadki patrzyły jak na model... Przy takich warunkach mógł on zająć wyższe stanowisko społeczne, do czego z natury każdy człowiek dąży. Honory i zaszczyty a nawet służba publiczna, do jakiej często wdychał, wszystko to było mu ułatwione.

Cóż za to mogła mu dać Konopówka? Skromne ustronie... a gdyby nawet i Sosnowiec kupił, czyż Helunia potrafi swój dom na taką skalę urządzić?

Dawniej marzenia jego były skromniejsze, świątek Konopówki wystarczał mu: dzisiaj dzięki szczęśliwej operacji giełdowej jest on bogaczem, a w takim razie i aspiracye jego poszły znacznie w górę. A zresztą czyż nie jest to ludzką rzeczą, że w miarę powiększania się naszego mienia, podwyższa się także poziom naszych pragnień?...

Tak rozumował pan Józef, aby przekonać siebie, że nic zdroźnego nie czyni. Po dłuższej walce z niedawnemi wspomnie-

niami przyszedł do przekonania, że nawet szlachetniej sobie postąpi, jeżeli Helunię porzuci. Przy dzisiejszych swoich pragnieniach nie mógłby jęj uszczęśliwić — pocóż więc dobręj dziewczynie świat zawiązywać? Zresztą przypomniał sobie półsłówka matki, które go do zerwania z Helunią zachęcały...

Na jego czole zarysowała się teraz silna wola — już postanowił.

Chciał właśnie wyjść z pokoju i wydać rozkazy, gdy nagle zobaczył przy progu kilimek, na którym wierny jego pies sypiał.

— Biedny Hulaj! — pomyślał sobie — niemasz go.

Zatrzymał się przy drzwiach; ulubiony pies stanął mu żywo przed oczyma. W dobręj i złęj doli nie odstępował go; w dzień śmierci uwolnił się z uwięzi, pobiegł za nim... szukał go w Konopówce i w Pałaczkach... a znalazłszy w lesie przy pojedynku — dał za niego życie swoje.

Cóż go do tego zmuszało?

Na to pytanie zmiękły energiczne rysy pana Józefa; spuścił głowę ku ziemi, a łzy zaświeciły w jego oczach. Były to łzy poświęcone biednemu Hulajowi...

Stał tak czas niejaki, wreszcie podniósł głowę i wyprostował się jak człowiek, który sam z sobą zwycięzką odbył walkę. Piękny wyraz okraślił twarz jego.

Otworzył drzwi i wybiegł na ganek.

Na ganku siedziała panna Anna; czekała na brata, aby się dowiedzieć, co postanowił.

— Gdzie posłańcy? — zapytał pan Józef z niecierpliwością.

— Jakże się namyśliłeś? — zagadnęła z niepokojem.

— Przecież gorszym od psa nie będę! — krzyknął z impetem pan Józef.

— Od psa?

— Od Hulaja, który do końca życia był mi wiernym, a nawet za mnie zginął.

Radosne uczucie zawiadnęło siostrą.

— Więc pojedziesz do Konopówki?

— Najprzód pojedę na chwilę do Pałaczk i przeproszę, że mi spieszno do mojęj narzeczonęj.

— Rozumiem ciebie.

VIII.

W Pałaczkach panował w tój chwili jakiś zagadkowy niepokój; wraz z odpowiedzią, że pan Józef zaraz przyjedzie, przywiózł posłaniec listy i gazety z poczty.

Pan Achil siedział właśnie w aksamitnej bonzurce na fotelu i palił cygaro. Przy oknie siedziała pani Babeta, jak panią Achillesową powszechnie nazywano; dodawano do tego, że zacna małżonka górskiego półpanka nie była jego piętą, lecz głową, pan Achil radził się bowiem jój we wszystkich ważniejszych sprawach.

I w tój chwili toczy się między nimi rozmowa niemalėj wagi.

— Gdyby się tak stać mogło — mówił pan Achil — jak utrzymujesz, to chętniebym się zgodził.

— Wszak to — odpowiedziała Babeta — od nas tylko zależy; z początku był nieśmiały, ale Aurelia zbliżyła go już do siebie. Szalony pojedynek dowodzi, że się nią zajął... mimo pierścionka tamtėj narzeczonėj.

— Ta Konopówka stoi mi bardzo w drodze. Gdy się po okolicy rozniesie, żeśmy ich poderwali, gotówbym nie dostać głosów na prezesa rady powiatowėj.

— Sfiksowałeś już na tym punkcie, mój drogi; sprawę publiczną jesz trzy razy dziennie.

— Tą drogą można dzisiaj dojść do czegoś.

— Ale można także nas wszystkich zanudzić. W salonie naszym od niejakiego czasu taka mieszanina, że sama nie wiem, co komu powiedzieć. Wielkie szczęście, że Aurelia umie mnie wyręczyć.

— Inaczėj nie moglibyśmy dzisiaj naszych planów dokonać.

— Widać, że się już wprawia do przyszlęj roli swojej.

Pani Babeta westchnęła, rozkoszne ale wyblakłe obrazy przesunęły się przed nią. Marzyła o świetniejszych związkach dla swojej jedynaczki... a dzisiaj trzeba aż odbijać drugim chudopachołka, któremu szczęście posłużyło. I czy się jeszcze to uda?

— Gdzie Aurelia?

— Wyjechała konno na spacer ku laskowi.

Pani Babeta wyjrzała przez okno, a pan Achil uśmiechnął się z zadowoleniem do sinych kółek dymu, które wydmuchywał przed siebie. Myśli małżonków były w téj chwili jednakowe: pod laskiem prowadziła drożyna do przysiołka pana Michała; jadąc do Pałaczkowskich mógł spotkać Aurelię...

— Aurelia dobrze chodzi koło swojej sprawy — zagadnął pan Achil, puszczając większe koło dymu.

— Czy ma się zanudzić na śmierć w tych górach? — odpowiedziała z westchnieniem pani Babeta.

Nastąpiła długa pauza. Pan Achil przypomniał sobie teraz, że na stole leżą gazety; sięgnął po nie.

— Jak widzę, już się bierzesz do polityki.

— Chciałem tylko dokończyć procesu o morderstwie.

— W takim razie nie weźmiesz mi za złe, że cię opuszczę; nie lubię krwi.

Podniosła się pani Babeta z miękkiego fotelu i wyrzawszy jeszcze raz oknem na drożynę pod laskiem, zwróciła się ku drzwiom, żegnając małżonka lekkim skinieniem głowy. Pan Achil otworzył gazetę.

Jeszcze słyhać było z przyległych pokoi lekki szelest sukni jedwabnej, gdy pan Achil na równe nogi z fotelu powstał. Trzymał przed oczyma gazetę i gorączkowo w niej czytał; twarz jego przybrała dziwny wyraz niepokoju, oczy nieruchomie partryły w jedno miejsce.

Stał czas niejaki jak posąg. Przyszedłszy do siebie, zwrócił się szybko ku drzwiom.

— Babetto! — zawołał zmienionym głosem.

Szelest sukni zbliżył się do niego.

— Czy mnie wołasz? — zapytała małżonka.

— Rzecz okropna!

— Czy znów kogo zamordowano?

— W Wiedniu liczne bankructwa! Banki i towarzystwa upadają... Wekslarz, u którego pan Józef ulokował swój kapitał, aresztowany za podstępne bankructwo.

Pani Babeta osłupiała.

— Czyż to być może?

— Jest tłusto wydrukowane.

— Może fałszywy telegram?

— Jest ich kilka — wszystkie się zgadzają.

— Więc pan Józef mógł wszystko stracić?

— Oczywiście.

Nastąpiła długa pauza.

— Wszędzie się nam urywa!

— Takie nasze przeznaczenie!

Znów zapanowało milczenie.

— Cóż teraz robić?

— To zmienia postać rzeczy.

— Naturalnie.

— Trzeba Aurelii o tém powiedzieć.

— Aby przynajmniej nie angażowała się do niego.

— Dlaczegoż ona nie wraca?

Pani Babeta niespokojnie wyjrzała na drożynkę pod lasem; na drożynce było pusto, tylko tam daleko wlecze się górski wózek, nakryty białą płachtą. Przed nim krąży stado wron.

— Nie widać nikogo! — zawołała niespokojnie pani Babeta, ani Aurelii, ani...

Urwała i z większym jeszcze niepokojem wychyliła się za okno.

— Dziwném by to było — odrzekł pan Achil — gdyby właśnie w téj chwili spotkali się z sobą.

— Cóżby to mogło wpłynąć na dalszą sprawę?

— Mogłaby się jakim słowem zobowiązać.

— Nie jest przecież dzieckiem, a gdyby nawet coś mu więcej powiedziała, potrzeba jeszcze naszego zezwolenia. O to wcale się nie obawiam.

— Zależy mi jednak na tém, aby nie drażnić sąsiada. Wobec gotujących się wyborów mogłoby to mi zaszkodzić

— Zawsze ci polityka w głowie!

— Nawet z panem Józefem tak spolitykować, aby on nie wiedział, że mu odmawiamy. Trzeba żeby uwierzył, żeśmy o tém wcale nie myśleli.

— Naturalnie, grzecznie i uprzejmie.

— Byle tylko Aurelia z nim się nie spotkała. Serca kobiece są zawsze wrażliwe na takie rzeczy jak pojedynek; wtedy musiałaby się cofać, a szlachcic drażliwy i butny. To mię niepokoi.

— Trzeba wysłać po nią chłopaka.

— Masz racją, Babetko.

Pan Achil sięgnął właśnie po dzwonek, aby rozkaz żony wypełnić, gdy na drożynie pod laskiem wzbil się tuman kurzu. Na tle szarych kłębow zarysowała się postać amazonki w błękitnym woalu przy kapeluszu; za nią w dalekim odstępie galopował służący.

Pani Babetka wydała okrzyk podziwienia; pan Achil zrozumiał go i zbliżył się także do okna.

Oboje zapomnieli w tej chwili o gorzkich zawodach. Pan Achil był zamłodu dobrym jeźdźcem i wysoko cenił tę sztukę; w żonie swojej zakochał się właśnie podczas wycieczki konnej nad brzegami morza Śródziemnego. Aurelia odziedziczyła talent po rodzicach, a nawet prześcignęła ich.

— Olgierd prezentuje się jeszcze dobrze — ozwał się pan Achil — sady szeroko i z fantazją. Czysta angielska krew... kosztował wiele... ale też takiego wierzchowca niema w całym naszym powiecie.

— Ależ i Aurelia dzielnie nim kieruje... Jakaż dzisiaj ta młodzież nasza! Dawniej biliby się o taką pannę... Pamiętam, gdyśmy w Praterze z hrabianką Izją konno jechały, wszyscy wiedeńczycy zdejmowali przed nami kapelusze; jeszcze tego samego dnia przedstawił się nam hr. Miklosz Ujdahely i baron Sternhimmel. Gdyby nie to, że jeden był trochę kulawy a drugi garbaty, zostałabym żoną jednego z nich, jak to sobie matka życzyła. Obaj byli niezmiernie bogaci.

Pan Achil uznał za stosowne ucałować drobną rączkę Babetki, że nie chciała zostać hrabiną węgierską, ani saską baronową. Przypomniał sobie, że nie jest teraz czas, aby dawne wspomnienia odgrzewać, lub skarżyć się na niewdzięczność świata, że Aurelia mimo tak dzielnej jazdy konnej, dotąd nie dojechała do portu małżeństwa. Trzeba było wrócić do niemiłej sytuacji, jaka się teraz gotowała; a czas był wielki, bo tam daleko na samym garbie góry zamajaczył punkt szary, podobny do wózka pana Józefa.

— Rozmów się sama z Aurelią — rzekł do żony — ja niby o tym nie będę nic wiedział.

— Tak samo i ja myślę — przygotowuję ją do rozmowy z panem Józefem... Czy będziesz z nim mówił o Wiedniu?

— Można będzie później tę sprawę poruszyć.

— Sądzę, że wcale o tém nie trzeba wspominać; udamy, że nic jeszcze nie wiemy. Będzie to dowód, że nie kierujemy się interesem.

Pan Achil przyznał słuszność małżonce i gazetę z telegramami przykrył grubą warstwą papierów. W téj chwili zarył Olgierd kopytami przed gankiem, a pani Babetta szybko wyszła do swoich apartamentów.

IX.

Szary punkt, który na górze dostrzegł pan Achil, był to rzeczywiście wózek pana Józefa; toczył się szybko na dół ku potokowi, który przerywał dolinę podkarpacką. Konie parskaly wesoło, woźnica, krakowskim zwyczajem, trzaskał z bata aż wróble stadami ku chatom wiejskim uciekały.

Siedzący na wózku pan Józef wyglądał także dosyć wesoło. Nie miał się też czego smucić; jedyném nieszczęściem jego było przed chwilą, że zanadto czuł się szczęśliwym. Pieśniadze rosły mu jak grzyby po deszczu, i to bez żadnej pracy; była to gra szczęśliwa, nadzieja i oczekiwanie przyjemnie drażniły nerwy; właśnie zabierał się wstać od gry z pełnym trzosem i spokojnie używać estymy sąsiedzkiej. Przytem kochała go Helunia a panna Aurelia tak słodkie oczy do niego robiła, że mógł ją słusznie o taki sam sentyment posądzać; była tylko trudność co do wyboru i to stanowiło jedyne jego nieszczęście.

Do Heleny ciągnęło go serce; zdawało mu się, że ona prawdziwie go kocha. Inne znów powody natury praktycznej popychały go do blondynki, która dawała mu wyższą pozycją towarzyską.

Czas jakiś walczył z sobą, bo tu i tam coś silnie go nęciło. Gdy się nad tém zastanawiał, zdawało mu się wyraźnie, że dwie różne istoty mieszkają w jego ciele: dwóch Józefów miał w sobie; jeden chciał iść tradycją szlachecką, aby koligację się z większymi domami, drugi poprzestawał na dawniej równości herbu.

Walka tych dwóch Józefów sprawiała mu niemało kłopotu; przyzwyczajony do rozstrzygania sporów pojedyńkiem, byłby chętnie jednego z nich wyzwał i w kawałki porąbał, byle to bez szwanku dla drugiego stać się mogło. Wreszcie złamał

swego nieprzyjaciela, a do tego pomógł mu... poczciwy Hulaj. Biedny pies dał mu przykład z siebie i nauczył go, jak się należy poświęcić dla szlachetnego uczucia.

— Przecież człowiek nie może być gorszym od psa?— powtarzał sobie ciągle na wózku i przekonywał, że Helenę bardzo kocha, że dla niej musi poświęcić drugą, która go także kochać pragnie.

To zwycięstwo sprawiało mu teraz wielkie zadowolenie; chodziło tylko o to, jak w Pałaczkach się zachować, aby o tém zwycięstwie wszyscy się dowiedzieli a jednak nie bardzo się nióm zmartwili. Miał on poczciwe serce, nie chciał, by na niego narzekano. W Pałaczkach przyjęto go tak serdecznie, widzieli już nawet w nim przyszłego zięcia... biedna Aurelia patrzyła w niego jak w tęczę... półsłówkami, spojrzeniem i minką pełną znaczenia oddała mu już serce swoje; teraz trzeba biednej sprawić gorzki zawód... trzeba jój powiedzieć, że ma narzeczoną, przy której wytrwa do końca życia, jak wytrwał wierny jego Hulaj.

Nie bardzo przyjemna to rola. W Pałaczkach przyzwyczaili się już do niego... być może, że nawet zbyt często patrzył na pannę i zagorąco ścisnął jój rączkę... Teraz trzeba to wszystko cofnąć i odwołać.

Pan Józef wyobrażał sobie, jak smutnie spuści główkę Aurelia, gdy jój da do poznania, że ich drogi nie zejdą się nigdy.

Przy takich myślach sposepniał; żal mu było rozkosznych Pałaczk, litował się nad panem Achilem i Babetą, a nad Aurelią byłby chętnie nawet zapłakał, gdyby te łzy nie były krzywdą dla Heleny. Słowem, pan Józef czuł całą trudność swego położenia a czuł ją tembardziej, im więcej do Pałaczk się zbliżał. Zrazu postanowił krótko tam zabawić, teraz uznał za stosowne dłużej zostać i przyjacielskiem zachowaniem się osłodzić poczciwym ludziom tak srogi zawód. Chciał Aurelii opowiedzieć całą historią swego psa i tém zakończyć, że on nie może być gorszym od niego; Aurelia powinna zrozumieć sentencją tego nekrologu i domysleć się końca.

Tak myślał sobie pan Józef, gdy wózek zatrzymał się przed gankiem. Dawniej wychodził sam pan Achil na ganek i brał go w swoje gościnne objęcie; dzisiaj i służby niema, a nawet stróż, który dziedziniec zamiata, nie kwapi się do niego...

Czy wiedzą już w jakim zamiarze przyjeżdża do nich? Zdawało mu się, że widział w oknie aksamitną kurtę pana

Achila; zkądże ten nagły spokój, jakby wszyscy wymarli? Rola pana Józefa stawała się coraz trudniejszą.

Wszedł na ganek. Z apartamentów kobiecych doszły do niego akordy fortepianu: to Aurelia ćwiczyła się w jakichś trudnych pasażach. Była to jednostajna melodia, klawisze odzywały się nieustannie z góry na dół i z dołu do góry. Chłopiec, który czyścił posadzkę, otworzył mu drzwi do gabinetu pana Achila.

Pan Achil siedział na szesłażu i przecierał oczy, jakby się ze snu obudził. Nie wstał na jego powitanie, tylko podał mu dwa palce.

— Już się domyślają—pomyślał sobie pan Józef—z czém przyjechałem. Biedni ludziska, lecz cóż ja temu winien? Przecież wiedzieli, że mam narzeczoną i że od psa gorszym nie będę; a jeżeli mimo tego mieli jakie zamysły, to słuszna za to kara.

Pan Józef uspokoił swoje czułe sumienie i podgarnął czuprynę.

— Przyjechałem podziękować za łaskawe spółzucie—zawołał zaraz na wstępie—jakię przebija z listu do mnie pisanego. Taka drobna rzecz, jak zaimprovizowany pojedynek, nie warta była wielkiego niepokoju. Skończyło się prawie bez krwi.

Pan Achil ziewnął przeciągle.

— Przepraszam — odrzekł — że pana trudziłem do nas. Powiedziano nam, żeś pan ciężko ranny, a pisanie moje miało tylko za cel kondolencyą, jaka się zawsze w takim razie znajomym należy. Nie przypuszczałem, że pan będziesz mógł zaraz do nas przyjechać.

Zadziwienie malowało się na twarzy pana Józefa.

— Żałuję mocno—odpowiedział z uśmiechem—że się nie stało jak państwu doniesiono.

— Tém lepiej dla pana — niech pan siada.

Pan Achil rozpoczął teraz rozmowę o cenach zboża, o wyborach do rady powiatowej, przyczém zaczął postępowanie delegacji polskiej w Wiedniu dosyć ostro krytykować. Pan Józef należał do skrajnej opozycji, kochał kraj i był zawsze gotów stanąć za niego do pojedynku na śmierć lub życie; perorował przeciw dyplomacyi, chociaż o niéj nie miał jasnego pojęcia, i śmiał się z tak zwanych sojuszów chwilowych; był nieprzyjacielem wszelkich transakcyj wiedeńskich z Galicyą i wierzył tylko w prawa nieprzedawnione, sprawiedliwość Boga i szablę pradziadowską. Do tego programu potrzeba mu było jeszcze

pewnych konjunktur, o których miał przekonanie, że muszą nadejść.

Krytyczne uwagi pana Achila przypadły mu bardzo do smaku; słyszał on je nieraz w małych dworzech szlacheckich, na zjazdach targowych i jarmarkach, ale w komnatach pałacowych były dla niego bardzo miłą niespodzianką. Nie podejrzewał pana Achila o kaptowanie głosów do rady powiatowej, bo na dyplomacyi, do czego sam się przyznawał, nie znał się wcale; to też z niemałą werwą zaczął pomagać panu Achilowi dolewać oliwy do ognia.

Przy takiej rozmowie, zapomniał wcale o Aurelii i o tém wszystkim, z czém tutaj przyjechał. Nie dziwiło go, że gospodyni domu nie wyszła, że Aurelia zawzięcie na fortepianie młóci; był w téj chwili mężem publicznym, reprezentantem kraju w sejmie i delegacyi rozdawał ciągi zasłużone.

Pan Achil podziwiał - rzum swego sąsiada, admirował w nim swego przyjaciela politycznego i dał mu do zrozumienia, że gdyby został prezesem rady powiatowej a ztamtąd dostał się wyżej, pociągnąłby go niezawodnie za sobą.

Pan Józef odgarniał czuprynę, czuł się coraz więcej na siłach do usług publicznych. Zawile kwestye krajowe rozcinał jednym zamachem; tylko propinacyi i ustawy drogowej nie dotknął ani razu. A gdy pan Achil w zapędzie reformatorskim, czy też *ob captandam benevolentiam* zaczępił tak zwany „obszar dworski” i był za złaniem się dworu z gminą, pan Józef ochłódl nieco i zaczął powoli tracić werwę do krytyki spraw publicznych.

Teraz dopiero przypomniał sobie, poco do Pałacysk przyjechał; obejrzał się i zdziwił, że dotąd kobiet nie było. Aurelia wygrywała ciągle jedne i te same pasaże, a pani Babetta przechadzała się po ogrodzie.

Przecież jedna i druga wiedziała o tém, że przyjechał a przyjechał po odbytych pojedynku. Czyż nie są ciekawe widzieć go zdrowym i całym? Dlaczegoż nie przyszły powitać, jak to zawsze dawniej robiły?

Zasepiło się czoło pana Józefa.

— Cóż to znaczy? — pomyślał sobie, czy wiedzą z czém przyjechałem?... Biedni ludziska, nieprzyjemnie im jest usłyszeć to, co im zawód sprawia.

W ten sposób wytłumaczył sobie pan Józef nieobecność kobiet i miał nawet litość nad niemi. Na dalszą rozmowę z panem Achilem nie było już materiału, a propinacyi, ustawy dro-

gowej nie chciał tykać. Słowa padały teraz skąpo, urywały się co chwila. Pan Achil zaczął ziewać, jakby miał ochotę wrócić do drzemki; od czasu do czasu rzucał okiem na gościa, niby chcąc się dowiedzieć, czy nie ma ochoty odjechać.

Widział to pan Józef, ale nie chciał się zatrzymać w polowie drogi; pragnął zakończyć sprawę z którą przybył.

Przystąpił do okna i ujrzał czerwoną parasolkę pani Babety.

— Piękny wieczór—ozwał się—pani dobrodziejka używa przechadzki. Możebyśmy wyszli, a ja złożyłbym moje winne uszanowanie.

— Nie mam nic przeciw temu—odparł pan Achil, patrząc na zegarek—moja żona i tak już powinna powrócić. Lekarz polecił jej dwugodzinną przechadzkę po obiedzie, a czas ten prawie już mija.

Wyszli do ogrodu. Przez okno widziała go Aurelia ale grać nie przestała.

Pan Józef zbliżył się do pani Babety i dawnym obyczajem pocałował ją w rękę. Pani Babeta przywitała go grzecznie ale sztywnie.

— Sprawileś nam pan dużo zmartwienia—rzekła z uśmiechem—chcę pana Karola bez spowiedzi na drugi świat wyprowadzić. Cieszę się, że to nie udało się ani panu, ani jemu; Aurelia o mało co nie rozchorowała się, gdy ktoś powiedział, że pan Karol zabity.

Panu Józefowi przeciągnęła się twarz.

— Więc o pana Karola im chodziło—pomyślał sobie— a do mnie napisano tylko dlatego, że bliżej niż on mieszkam. Cóż to znaczy?

— Pan Karol dzięki Bogu cały— odrzekł nieco zmieszany— a ja zawdzięczam tylko psu mojemu, że dzisiaj stoję na dwóch nogach.

— Słyszałam o tragicznym zgonie pańskiego wyźła, który tego samego dnia był w naszym ogrodzie. Nie chciał ustąpić, aż ogrodnik musiał go wypędzić. Biedne psisko!

— Gdyby ogrodnik był gościnniejszy—pies byłby żył jeszcze.

— Ale co byłoby się z panem stało?—zapytała pani Babeta.

Pan Józef machnął ręką.

— Niech pan nie lekceważy życia swego—mówiła dalej pani Babeta—to sprawiłoby komuś wielkie zmartwienie.

Zdawało się panu Józefowi, że pani Babeta spojrziała przy tych słowach na okno, z którego płynęły zawzięte pasażerki. Chciał właśnie coś odpowiedzieć ale przerwała mu pani Babeta.

— W Konopówce — mówiła dalej — byłaby rozpacz nielada. Panna Helena, jak słyszałam, jest bardzo wrażliwą i nie wiem, co by się z nią stało, gdyby się dowiedziała, że pana jakie nieszczęście spotkało. Czy pan już tam był?... Niezawodnie ztamtąd jedziesz.

Pan Józef zarumienił się.

— Chciałem tu być pierwój — odpowiedział — bo list pana Achila wymagał podziękowania.

— Niepotrzebnie wyrządziłeś pan krzywdę pannie Helenie, która niecierpliwie pana wygląda. W sprawach uczucia maleją formy towarzyskie.

Twarcz pana Józefa poczerwieniała jeszcze bardziej. Czuł coś podobnego do wstydu; dopiero myśl szczęśliwa, że mu odwrót ułatwiają, uspokoiła go.

— Do Konopówki — odpowiedział — wysłałem już ustną wiadomość, która pannę Helenę uspokoi.

— Aa!... — wykrzyknęła pani Babeta.

— Wszystko więc jest w porządku — dodał pan Achil.

Pan Józef był z siebie zadowolony; zdawało mu się, że dosyć zręcznie wycofał się ze sprawy wobec rodziców, do czego oni sami mu dopomogli. Czuł wprawdzie ich boleść ukrytą, ale tём się pocieszał, że w końcu zwyciężył.

Trudniejsza jednak sprawa była z Aurelią; uważał ją za główną osobę w tym dramacie i obawiał się, że z nią trudno się będzie rozstać na zawsze.

Miał do tego ugruntowane powody. Rodzicom łatwiej było odegrać smutne role swoje, z Aurelią miała się rzecz inaczej; chwilową porywczoscią swoją wzbudził w niej pewne nadzieje, które nie tak prędko dadzą się z serca wymazać. Przypomniał sobie, jak raz przy oddawaniu czerwonego gwoźdźnika mówiła mu, że zawód w miłości byłby dla niej ciosem śmiertelnym. Przyszły mu na myśl jeszcze inne rzeczy, które kładły pewne obowiązki; jakże teraz cofać się z owych pajęczych sidełek, jakimi dobrowolnie dał się obmotać, i zaśpiewać piosenkę: „Między nami nic nie było!”

Nie na nawet odwagi wyjść do niego; chce grać na fortepianie zagłuszyć swe serce, chce je choć na chwilę odurzyć.

Wybiera w tym celu jaknajtrudniejsze pasaże, uderza z całą siłą w klawisze...

Biedna Aurelia!

Pan Józef przygotowywał się widocznie do zniesienia tortur; rozmowa z rodzicami urywała się, przeplatały ją długie pauzy. Pan Achil nie rozwijał swego programu politycznego a pani Babetta nie umiała jakoś gawędzić z człowiekiem, który do jój sfery nie należał. Oboje z mężem czekali chwili, w której gość zacznie się z niemi żegnać.

Inaczej myślał pan Józef. Każdą sprawę lubiał do końca doprowadzić; postanowił wytrwać, choć go to dużo cierpliwości kosztowało.

Po dwugodzinnój przechadzce był już blizkim celu. Fortepian umilkł, a szafirowa amazonka pojawiła się na ganku. Aurelia nie zmieniła jeszcze swego kostiumu.

Pan Józef odetchnął wolniej, jak widz w teatrze, przed którym sensacyjny melodramat dobiega już do końca. Chciał właśnie zwrócić się ku gankowi, gdy lokaj w niebieskiej liberyi na ścieżce się pojawił.

— Gościnność—ozwała się pani Babetta—każe nam pana zaprosić na herbatę, obawiamy się jednak, czy tém nie wyrządzimy krzywdy pannie Helenie. Wybieraj pan swobodnie, proszę, bez żadnego przymusu.

Panu Józefowi nie chodziło o herbatę ale o Aurelią. Szafirowa amazonka przesuwała się z wolna pomiędzy oleandrami na ganku, a zachodzące słońce otoczyło ją swym blaskiem. Pan Józef wybrał—herbatę, mówiąc coś o Helenie a potem o pannie Aurelii, z którą chciał się przywitać i pożegnać. Wszyscy udali się na herbatę.

Gdy pan Józef wszedł na ganek, nie zastał już tam Aurelii. Weszli do pokoju gdzie był stół zastawiony; tu nie było jój także. Wszyscy usiedli a służący zaczął podawać potrawy. Pan Józef zjadł już jakiś kotlet z dodatkiem szpinaku, gdy pan Achil o córkę zapytał.

— Zapewne przebiera się—odpowiedziała pani Babetta—bo w amazonce niewygodnie przy stole siedzieć.

Pan Józef połknął z gniewu spory kawał sera i popił herbatą. Ułożony program spotykał coraz nowe trudności.

Przy drugiej filiżance herbaty pojawiła się Aurelia; miała bluzkę fałdzistą, jedwabnym sznurem przepasaną, złote włosy nieco w nieładzie, a na ustach uśmiech swobodny. Podawała uprzejmie rączkę gościowi.

— Powinam się gniewać na pana—rzekła z żartobliwym uśmiechem—że niepokoisz ludzi. Upatrzyłeś pan sobie coś do poczciwego pana Karola i strzelałeś do niego jak do tarczy. Pan Karol to dawny nasz znajomy i ręczę panu, że nie miał zamiaru komuś z nas ubliżyć.

Powitanie takie zadziwiło pana Józefa. Cóż znaczy to ustawiczne wysuwanie pana Karola na pierwszy plan, podczas gdy o nim zupełnie zapomniano? Czyż jemu nie groziło takie samo niebezpieczeństwo w pojedynku jak panu Karolowi?

Pan Józef chciał właśnie Aurelii coś odpowiedzieć, gdy mu przerwał pan Achil:

— Co się stało, należy już do przeszłości. Rzućmy na nią zasłonę a mówmy o czémś lepszym.

Pan Achil rozpoczął znowu długą rozmowę o sprawach publicznych. Zdaje się, że chciał teraz zmasać dawniejsze grzechy swoje; dawniej bowiem nie tylko takich rozmów unikał ale nawet wyjeżdżał zagranicę, gdy przeczuwał jakieś ważniejsze wypadki w kraju. Dopiero teraz, gdy nastąpiły wybory marszałków i innych dygnitarzy krajowych, rozmiłował się w zawodzie publicznym. A poczciwa, chudopacholska szlachta ucieszyła się tym wiele i zaczęła się gromadzić koło syna marnotrawnego, który do domu rodzicielskiego powrócił.

Pan Achil mówił wiele o wyborach do rady powiatowej, oceniał bezstronnie kandydatów, stawiał programy polityczne i społeczne, a zakończył tym, że wszystko to od przyszłego marszałka powiatu zależy. Ubolewał tylko nad tym, że takięj wszechstronnej osobistości w całym powiecie nie widzi, a trudno znów sprowadzać ludzi z innych powiatów, jak ongi do Polski sprowadzano królów elekcyjnych.

Pan Józef nie dał się teraz złapać na tę smaczną ponętę. Widział przed sobą Aurelię, która z wyborynym apetytem kołtety zjadła, jakby nigdy nie było. Panu Achilowi odpowiadała słabo wyczekując pierwszjej dłuższjej pauzy, w której mógłby się zwrócić do Aurelii.

O taką pauzę było trudno. Pan Achil mówił jak Cycero, a gdy mu tchu zabrakło, wyręczała go pani Babetta; Aurelia nie mieszała się do rozmowy. Wypiwszy herbatę, wzięła jakieś pismo ilustrowane i zaczęła się obrazkom przypatrywać.

Minęła jedna godzina i druga. Pan Józef liczył na to, że po herbacie przejdą wszyscy do salonu, gdzie będzie można z panną na osobności pomówić.

Pani Babeta nie dawała jednak hasła do powstania; salonu nawet nie oświecono. Zdawało się, że chcą przy stole z gośćmi się pożegnać.

Pan Józef był blizkim rozpaczy. Nie tylko zrezygnował na dzisiaj z Konopówki, za co sobie gorzkie wyrzuty robił, ale nawet w Pałaczkach celu swojej wizyty nie dopiął.

Już chciał pożegnać się i z niczém odjechać, gdy nagle Aurelia wstała od stołu. Z bocznego stolika wzięła małą lampę i wyszła z nią do salonu. Wkrótce potem ozwały się ztamtąd te same pasażę, które go niedawno przez dwie godziny trapiły.

— Zanim odjadę — ozwał się w przystępie rozpaczy pan Józef — muszę jeszcze tych egzercyzj posłuchać, do których panna Aurelia ma dzisiaj szczególniejszą pasyą. Ciekawym jak pokonywają się takie trudności.

Wstał od stołu i przeszedł do salonu.

Teraz był u celu swoich życzeń. Pan Achil został przy stole zapaliwszy sobie cygaro, a pani Babeta zaczęła się pilnie przypatrywać ilustracyom.

— Czy pan taki muzykalny? — zapytała Aurelia gościa, który usiadł tuż przy niej.

— Lubię muzykę — odpowiedział pan Józef — usposabia ona do marzeń.

— Żałuję, że moje egzercycye nie odpowiadają takim celom.

— Możesz je pani zmienić na piękniejszą melodyą.

— Nie mogę, ponieważ wypełniam tylko rozkaz lekarza.

— Cóż to za nowa recepta?

— Czuję czasem drętwienie w palcach; lekarz zalecił mi w tym celu jednostajny, kilkogodzinny ruch ręki.

— Aa!...

— Możemy jednak przy tém rozmawiać; wszak to pana nie detonuje?

Pan Józef czytał nieraz o tém, że różne wiersze deklamują się przy fortepianie; dziwną mu się jednak wydała rozmowa poufna przy tych jednostajnych ruladach. Nie było jednak wyboru.

Zaczął opowiadanie swoje od czasów, w których jeszcze nie znał Pałaczk, ani panny Aurelii, kiedy mieszkańcy tego czarującego ustronia byli dla niego mytem. Słyszał tylko coś o nich, jak się słyszy o niebie i wybranych. W tym czasie był często w Konopówce i tam poznał Helenę; później sprawy publiczne zbliżyły go do mieszkańców Pałaczk...

— Tu poznałeś pan owych mytycznych mieszkańców— wtrąciła z uśmiechem Aurelia, grzmocąc dalej klawisze.

Pan Józef przyznał się do tego i rzecz dalej prowadził.

Uśmiech Aurelii i rulady przeszkadzały mu trochę, ale już na to nie zważał; mówił o przyjemnych chwilach spędzonych w cichéj Konopówce. Jakiś wicher złowrogi porwał go ztamtąd i uniósł w powietrze wysoko... wysoko...

— Czy jeszcze wyżéj?—zapytała Aurelia posuwając rękę do tonów coraz wyższych.

Pan Józef uśmiechem odpowiedział na ten żart i opowiadał dalej. Gdy spojrział z góry na dół, obaczył Pałacyska i ruszkę jasnowłosą...

Aurelia zacięła usta, aby nie parsknąć śmiechem; p. Józef miał teraz postawę komiczną. Przywykły do szabli, strzelby i pistoletów, niebardzo był biegły do szermierki z kobietą salonową.

— Dlaczego się pani śmiejesz?—zapytał gniewnie.

— To przecież powinno być tryumfem dla pana... opowiadasz rzeczy bardzo zabawne!

— Cierpiałem wiele przy tych zabawnych rzeczach.

— Być może; i Molier, który takie zabawne komedye komponował, miał być bardzo nieszczęśliwym.

P. Józef zamilkł, bo jakoś stracił wątek myśli. Na szczęście przypomniał sobie biednego Hulaja; zaczął o nim opowiadać. Mówił o jego niezwykłym przywiązaniu, jak po całych dniach wyczekiwał go, gdy na jarmark wyjechał, jak w dniu pojedynku szukał go po całej okolicy... jak go wreszcie pies na placu boju znalazł i za niego życie swoje oddał... Zaczął ztąd wywodzić, czém powinno być prawdziwe przywiązanie a jak nikczemnym wyglądałby wobec tego psa człowiek...

Rulady ustały nagle. Aurelia wstała i z dumą wyrzuciła głowę do góry.

— Pozwól pan — rzekła do niego sztywnie — że i ja nie będę tak okrutna i nie zaczekam aż się pan na jakie manowce zapędzisz; poznałam pana jako narzeczzonego, a to dawało mi może więcéj swobody w rozmowie. Wnosiłeś pan z niéj, to o czém jam nigdy nie myślała. Otwarcie i szczerze panu to wyznaję i sądzę, że pan na tém poprzestaniesz. Nad biednym Hulajem ubolewam serdecznie... a teraz wróćmy do rodziców.

I wykręciła się zgrabnie na małym obcasiku, a p. Józefowi nie zostało nic innego, jak podążyć za nią z miną wcale nie

bohaterską. Ogarnął go wstyd, że tak nierozsądnie sobie postąpił, że myślał o czémś, co nigdy nie istniało. Tyle mu tylko zostało przytomności umysłu, że się mógł z wszystkimi pożegnać i do wózka dostać.

Na wózku opuścili go prawie zmysły.

X.

Noc była dosyć ciemna. Wózek toczył się jakby w ciemną otchłań; zdawało się, że za chwilę spadnie i zniknie w przepaści. Ani furman, ani pan jego nic nie widzieli przed sobą; wiatr zachodni dmuchał im w uszy, ale żaden nie słyszał go.

P. Józef widział ciągle przed sobą sarkastyczny uśmiech Aurelii, słyszał jej rulady; widział jakieś maskary wyszczerzające do niego zęby połamane, a gdy oczy zamykał, słyszał ich śmiech, który aż do szpiku się wciskał.

Wstydził się niefortunnéj roli, jaką odegrał. Wstyd ten był dla niego boleśniejszy od największego nieszczęścia. Wolałby był nogę lub rękę stracić w pojedynku niżeli taką odprawę dostać. Był pewny, że w Pałaczkach życzą sobie, aby z Aurelią się ożenił, że Aurelia sama do tego zmierzała, a nawet wyraźnie mu się oświadczała; tymczasem było to proste złudzenie. Nikt o tém nie myślał, jak to wyraźnie mu powiedziano, co gorsza, nie zrozumiano jego słów; on chciał wycofać się z Pałaczk, chciał zręcznie powiedzieć im, że pozostaje wiernym Konopówce... tymczasem wzbudził podejrzenie, że się oświadcza i z góry dano mu odkosza.

Rozpaczliwa sytuacja! Szczęściem, że to nie stało się tak wyraźnie, że przynajmniej ludzie o tém mówić nie będą.

Nie umniejszało to jednak jego boleści. On wiedział o tém i nie mógł sobie przebaczyć. Gdyby się mógł podzielić, jak niedawno, na dwóch Józefów, wyzwałby niezawodnie jednego na pojedynek i na miejscu zabił.

Było to jednak niemożliwém. Gdy wózek po kamieniach do góry podskakiwał, czuł wyraźnie, że w nim coś kołatało, jak

dwa ziarna w jednym orzechu; nie mógł ich jednak od siebie rozdzielić i za karę musiał je oba zawieźć do domu.

Nachodziły go z tego powodu różne kontemplacye poważne, jakich dawniej nie miewał.

— Dyabeł—myślał sobie, gdy droga była równiejsza—dyabeł rzucił złe ziarno we mnie. Pielęgnowałem to ziarno, aż chwast się z niego zrobił. Jakże wyrwać to zielsko, aby ludzie nie widzieli?... Przypominam sobie, jak pan Marcin posiał jęczmień, a urodziła mu się gorczyca. Śmieliśmy się z niego, że chwasty sieje, a on tak się tego wstydził, iż kilka tygodni na targ do miasta nie przyjeżdżał... Czyż ze mnie nie będą się śmiać, że także zamiast jęczmienia zebrałem gorczycę?

Do tego przyłączyły się jeszcze wyrzuty, że Helenie wielką krzywdę uczynił. Zachwiał się w sentymencie dla niej i Bóg tylko strzegł, że z nią nie zerwał. Ona zwyciężyła wprawdzie w jego sercu, ale fatalne nieporozumienie w Pałaczkach zaciemniło to zwycięstwo; dałby rękę sobie uciąć, gdyby to wszystko nie było się stało, gdyby nie potrzebował zwyciężać, a Helenę kochał bez żadnych przeszkód jak dawniej. To tylko pocieszało go, że Helena o tém się nie dowie, że zaraz jutro rano sam jęj tę sprawę wyjaśni i razem śmiać się będą.

Mijając ostatni potok, który granicę jego majątku stanowił, uczuł w sobie talent dyplomatyczny, który pozwoli mu z łaską Boga wybrnąć z téj śmiesznej sprawy. To dodało mu otuchy. Spokojniejszy i w lepszym nieco humorze wjechał przez bramę na dziedziniec.

To, co teraz ujrzał przed sobą, zaniepokoiło go. Było już dosyć późno, a okna dworku jaśniały światłem. Drzwi nie były zamknięte; brytany skomlały na uwięzi...

W jednem oknie widać było majora w czarnej peruce, jak z impetem po izbie chodził i kłębami dymu buchał. Przy stole siedziała matka z załamaniem rękami i jakby nad jakimś nieszczęściem płakała.

W drugiem oknie widać było trzy ciocie, sztywnie przy stole siedzące. Machinalnie dziergały jakieś robótki ale ich twarze miały nastrój tragiczny. Dwa podlotki, sierotki pozostałe po zmarłym stryjaszku, przypatrywały się wystraszone tym twarzą surowym. Anny nie było między niemi, zapewne znajdowała się w swoim pokoiku.

Teraz dopiero spostrzegł p. Józef tuż koło siebie postać kobiecą, ciemną chustką owiniętą.

— Czy to ty Józefie? — zapytała.

— Cóż tam znowu! — zawołał p. Józef wyskakując z wózka.

— Wielkie nieszczęście!

— Tam do kata! Czy się dzisiaj worek ze złem rozwiązał?

— Nikt się tego niespodziewał!

— To prawda... ani mi przez głowę przeszło!

Pan Józef był pewny, że siostra już wie co się w Pałaczkach stało; w sam czas przyszło mu na myśl, że o tém w żaden sposób jeszcze wiedzieć nie może.

— Cóż się stało?—poprawił się—o niczém nie wiem.

— Jakto nie wiesz?... Wszak byłeś w Pałaczkach.

Pan Józef się zachwiał.

— No... byłem... i cóż ztąd?

— Zapewne mówiliście...

— Mówiło się to i owo... ale ktoby tam na wszystko zważał! Sam nie umiałbym już powtórzyć...

— Czy ci nie wspomnieli?...

— Mówiliśmy przez kilka godzin, ale rozmowa taka to jak plewa, którą wiatr roznosi po polu.

— Przecież to dla ciebie wypadek tak ważny...

— Śmiej się z tego!... To jedno tylko fatalne, że mi się nie dali do końca wygadać myśląc, że przyjechałem z oświadczeniami o pannę Aurelią...

— I niezawodnie uprzedzili cię rekużą...

— Formalnej rekuzy nie było...

— Przestraszył ich ten wypadek... Łapali cię gdyś miał krocie... a dziś gdy to wszystko poszło z wiatrem...

Anna zaczęła płakać.

— Cóż to jest?

— Tego powinieneś się być spodziewać...

— Ale ja pojechałem tam po to, aby im powiedzieć, że mam narzeczoną, że Helenę kocham i przy niej do śmierci pozostanę!

— Pytanie, co teraz w Konopówce na to powiedzą.

Pan Józef wstrząsł się z gniewu.

— Cóżby tam znowu była za miłość, gdyby ją lada co zdmuchnąć mogło.

— Utrata mienia nie jest rzeczą tak błahą.

— Co za utrata?

— Przecież w Pałaczkach mówili ci o tém.

— O czém?

— To ty nic nie wiesz?

Anna szarpnęła brata za rękę i pociągnęła go za sobą do pokoju, w którym jak sztyldwach tam i na powrót chodził pan Major.

Major nie powitał go wcale. Twarz jego rumiana była teraz sina z nadmiaru napływu krwi do głowy; siwe wąsy zjeżyły się jak sierść odyńca, wypukłe oczy wylazły zupełnie na wierzch jak u raka. Buchał dymem i prostował się co moment, jakby szedł na nieprzyjaciela.

Matka nie spojrzała także na syna; na jej twarzy świeciły się łzy, patrzyła przed siebie jak nieprzytomna.

Na środku stołu leżał rozpostarty arkusz gazety; dwa rogi miał naderwane, widać, że trzymały je ręce kurczem dotknięte. Cała gazeta była strasznie pomięta.

Anna wskazała palcem na miejsce, gdzie był druk tłusty. P. Józef pochylił się nad stołem.

Zaczął czytać. Wszystkich oczy zwróciły się na niego. Major zatrzymał się; oczy jego otworzyły się szerzej, wąsy zaruszały się, tylko ciemna peruka pozostała obojętną.

Pan Józef zbladł nagle, a potem poczerwieniał.

Major wskazał na niego palcem.

— Patrzcie—zawołał—tak samo jak u mnie było! Zrazu zrobiło mi się zimno, a teraz pali mię jak rozpaloném żelazem. Wkrótce i on posinieje... Szelma niemiec!

Nikt na to nie odpowiedział. Major ciągnął dalej:

— Śmiejecie się ze mnie, gdy wam mówię, że wołę turka niżeli niemca! Niemiec zawsze mi cuchnie. Z turkiem stanę do boju, gdy jako nieprzyjaciel w drogę mi wejdzie. Niemiec kłania się i mizdrzy, a tymczasem ręką do kieszeni sięga! Dalibóg ja was i całej waszój Galilei nie rozumiem!

Major miał teraz dobrą sposobność wyluszczyć swoje zapatrywania się polityczne, bo wszyscy milczeli z osłupienia i boleści. Programat jednak polityczny malkontenta galicyjskiego doznał niemiłej przerwy.

Pan Józef uderzył pięścią w stół.

— Niech go piorun trzaśnie—krzyknął cały drżący—zrobił mię żebrakiem! Jak mi Bóg miły, nie daruję!

Głęboka cisza zaległa komnatę. Chmura dymu zaczepiła się o wąsy Majora i zawisła w powietrzu. Sędziwa staruszka utkwiała oczy w synu, który stał z ręką do góry wzniesioną. Anna patrzyła z boku na tę groźną scenę.

Trwało to dosyć długo. Usta pana Józefa poruszały się kurczowo; dziwne myśli tłoczyły się do jego głowy; nawet

mieszkańcy Pałaczkowsk przesunęli się przed nim: widział ich fizyognomie ironiczne, słyszał złowrogie słowa. Wyjaśniło mu się niejedno.

— I cóż zrobisz teraz?—zapytał w końcu Major.

— Nie wiem jeszcze — odparł p. Józef — mąci mi się w głowie jak w gorączce.

— Straszne nieszczęście! — jęknęła matka.

— Nie wierzyłem nigdy w takie zarobki — dodał Major.

— Ale cóż robić teraz? Na morały nie czas — zauważyła

Anna z westchnieniem.

Znowu nastąpiła cisza. P. Józef oddychał głośno i ciężko, jak człowiek którego w nocy zmora dusi. W przyległym pokojku było cicho jak w grobie.

— Przedewszystkiem—ozwał się wreszcie p. Józef—trzeba zaczekać do jutra. Jutro wyjaśni się więcej ta sprawa. Rano pojedę do Konopówki i poradzę się.

Anna posmutniała.

— Czy sądzisz—zapytał żywo pan Józef— że w Konopówce doznam takiego samego przyjęcia jak...

— Nie sądzę—przerwała szybko—ale ludzie przywiązują często zbyt wielką wagę... do majątku.

Ciemny rumieniec przebiegł po twarzy p. Józefa.

— Czyż ja byłem innym — zapytał żywo — gdy miałem krocie?

Nikt na to nie odpowiedział, tylko świerszcz, nieświadom katastrofy, odezwał się pod piecem.

XI.

W Konopówce nie spano także w tej chwili. Pokoje były oświetlone, odmykano i zamykano drzwi, jakiś ruch niezwykle panował wszędzie. Pan Jędrzej z antypką w ustach wychodził często na ganek i pilnie nasłuchiwał: wiatr szeleścił w konarach drzew, potok szumiał pod mostkiem, żaden głos ludzki nie ozwał się, żaden wózek nie zaturkotał. Pan Jędrzej wrócił do pokoju i przystąpił do szyby historycznej.

Szyba rozbita na dwoje była nieocenioną dla mieszkańców Konopówki; była ona czulszą od aparatu O. Palmieri, który objawia najmniejszy ruch we wnętrzu ziemi; dźwięczała na każdy szelest, jakiego ucho ludzkie nie dosłyszało; sygnalizowała różne wypadki gospodarskie, dziejące się w kredensie i kuchni, a nawet w odległej oficynie. Pan Jędrzej wiedział tym sposobem o każdej stłuczonej szklance, o kłótni kucharza z dziewczką i klucznicą, ekonoma z parobkami; słyszał nawet w ciszy nocnej, gdy mu świerka w przyległym lesie ścięto, z drżenia powietrza wnioskował o deszczu i pogodzie.

Kiedy pan Józef do Konopówki jechał, szyba brzękiem zapowiadała jego przybycie już wtedy, gdy jeszcze był za górą. Dla tych nieocenionych przymiotów, pielegnował ją pan Jędrzej starannie, ocierał z niej codziennie kurz i owady.

Dzisiaj błyszczała jasno, jakby zwierciadło weneckie; p. Jędrzej przykładał do niej co chwila ucho... ale szyba milczała.

P. Jędrzej odstąpił od okna i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Dzień dzisiejszy był dla niego dniem feralnym: dowiedział się o pojedynku, co w całym domu sprawiło wielką konsternacją. Gdy pierwsze wrażenie przeminęło, wysłał po-

słańca, pani Jędrzejowa zaczęła czytać modlitwę, a Helunia położyła się do łóżka. Aby sobie czas oczekiwania skrócić, posłał p. Jędrzój po gazety do proboszcza; na nieszczęście, proboszcz pojechał do chorego na drugą wieś i klucz zabrał z sobą. P. Jędrzój czekał i czekał, wypalił dziesięć fajek a proboszcza i gazety nie było.

Wreszcie nadjechał posłaniec i przywiózł niezłą wiadomość: widział pana Józefa i obiecał jego przyjazd; dodał jednak, że pan Józef pierwój do Pałaczkowsk pojechał, jak to na własne oczy widział. Ten dodatek sprawił gorsze wrażenie od pojedynku. Wróżby pani Eufrozyny spełniły się.

Cóż bowiem ta wizyta w Pałaczkowskach miała znaczyć?

Obowiązkiem p. Józefa po takiej katastrofie było przyjechać pierwój do narzeczonej; dlaczegóż tego nie uczynił?

Już sam pojedynek nie dobrze wróżył. P. Karol widocznie miał zamiary co do panny Aurelii; p. Józef wszedł mu w drogę i ztąd przyszło do kłótni. Tak się przedstawiała katastrofa.

W pierwszym impecie nie pohamował się p. Jędrzój i całą sprawę wobec Heleny wytoczył; dla dziewczęcia był to cios tak silny, że jój sił zabrakło. Położyła się do łóżka.

Po niejakiem czasie zaświtała lepsza nadzieja: pan Józef obiecał przyjechać. Do Pałaczkowsk mógł skoczyć na chwilę w jakimś pilnym interesie; zapewne wyjaśni to, gdy przyjedzie do Konopówki.

Tak stały rzeczy. Tymczasem godziny mijały, a p. Józefa nie było. P. Jędrzój wysłał żydka w misyi dyplomatycznej na zwiady; żydek wrócił w sam wieczór, a wieści, które przyniósł, nie były najlepsze: p. Józefa w domu nie zastał, a za to panna tam jakiś rwetes niezwykły. Wszystko to potwierdzało słowa pani Eufrozyny, a gdy noc nadeszła, rozpostarła się nad dworem Konopówki ołowiana chmura.

Na nieszczęście dotąd nie było proboszcza ani gazety; zatrzymał się gdzieś u sąsiada, zaś wróciwszy do domu, prędko spać się położył a jeszcze przedzój zasnął.

Mimo tego wszystkiego nie opuszczała go jeszcze nadzieja; pan Józef mógł nadjechać i jednym uśmiechem rozpedzić te czarne mary, które wszystkich trapiły. Wszystko, co pani Eufrozyna opowiadała, mogło być bajką wierutną.

Nadeszła północ. P. Jędrzój wychodził co chwila na ganek, z ganku wracał do szyby, wyteżał i przykładął ucho, ale nic nie słyszał. Wiatr tylko szumiał z nad drzew i potok huczał pod mostkiem.

W kurniku zaczęły pisać koguty. P. Jędrzej spojrział na zegar; była 2-ga po północy. Nadzieja zaczęła go opuszczać.

Do pokoju weszła pani Jędrzejowa ze stoczkiem w rękę; była blada, miała oczy zapłakane.

— Zdaje się—rzekła do męża—że już nie przyjedzie!

Pan Jędrzej zacisnął usta i milczał chwilę.

— Dlaczegoż nie—krzyknął z impetem—do narzeczonej powinien choćby o trzeciej po północy przyjechać, aby ją uspokoić... Cicho! szyba zabrzęczała!

I pospieszył do okna. Cicho i głucho.

Pani Jędrzejowa uśmiechnęła się smutno.

— Pani Eufrozyna słusznie mówiła: w Pałaczkach złapali go i obmotali. Podobały się im krocie, których potrzebuja. Nic dziwnego: matka pana Józefa otwarcie o tém mówiła. Zasmakowała w jasnie państwie!

Pan Jędrzej zapalił jedenastą fajkę.

— Nie mogę temu wierzyć, to byłoby zawiłkiem nieszczęściem dla nas... Czyś słyszała szybę?

— Nic nie słyhać. O tej godzinie już nie przyjedzie. Siedzi w Pałaczkach, tam mu dobrze.

— Nigdy nic mądrego nie powiesz... same głupstwa!

— Wymyśl-że co mędrszego!

— Mógł w drodze koło złamać... mógł dyszel pęknąć... a zresztą mógł który koń zachorować. A kasztan białonogi miał skłonność do tego; już raz się ochwacił a drugi raz kolano sobie nabił.

Pani Jędrzejowa machnęła ręką.

— Rany Bożkie—krzyknął p. Jędrzej, dmuchnąwszy chmurą dymu przed siebie—jaki to człowiek nieszczęśliwy! Ani przyjaciela ani przyjaciółki! Proboszcz śpi jak po stypie, schowawszy gazety pod poduszkę, a zacna małżonka zamiast powiedzieć coś ucziwego, macha rękami jak telegraf! Dyabli mogą porwać człowieka.

P. Jędrzej przeszedł się kilka razy; żał mu się zrobiło, że tak ostro przemówił do żony. Zbliżył się do niej.

— Czemuż, moje serce, tak mię martwisz?—rzekł głaszcząc ją po ramieniu. Wszak wiesz, że tu chodzi o drogie dziecko nasze...

— Cóż ja winna, jeżeli bredzisz jak w gorączce. Widzisz koła i dyszle połamane... a ja ci mówię, że p. Józef siedzi sobie zdrów w Pałaczkach i słucha śpiewu Aureli. Lepiej może

było odesłać zaraz przez posłańca pierścionki; przynajmniej uniknęlibyśmy wstydu zrywając sami.

— Daruj mi duszko, ale ty masz zawsze głupie koncepta!

Łzy jak groch duże stoczyły się po twarzy p. Jędrzeja.

— Ty tak mówisz—szlochał—jakbyś nie była matką Heluni; jak można przypuszczać rzeczy, na które nie masz dowodów. Któraż matka tak mówi!

Pani Jędrzejowa westchnęła.

— Najlepszym dowodem jest—rzekła—że dzisiaj nie przyjechał.

— Może przyjechać jutro.

— Jeżeli w Pałaczkach dostanie odkosza.

Pan Jędrzej wyprostował się.

— Co? z odkoszem z Pałaczków przyjedzie do nas!

Po chwili skurczył się jakby pod ciężarem jakim i z trwożą obejrzał się dokoła.

— Cyt!—szepnął półgłosem—aby Helunia nie usłyszała.

Uśmiech gorzki przebiegł po twarzy pani Jędrzejowej.

— Nie znasz serca kobiecego, Helunia przeczuje to sama.

— Czy śpi teraz?

— Chodź a obaczysz.

P. Jędrzej pociągnął na drogę kilka razy z cybucha a potem oparł go o ścianę; powoli za małżonką wysunął się z pokoju.

Weszli do pokoju Heluni. Na białym łóżku leżała z twarzą zarumienioną, oczy gorzały ogniem gorączkowym, białe jak alabaster ręce położyła nieruchomie na kołdrze.

Gdy się drzwi otworzyły, zwróciła oczy na wchodzących. Nie wyrzekła ani słowa, o nic nie pytała.

— Jak ci jest, moje dziecko?—zapytał p. Jędrzej, wstrzymując gwałtem łzy pod powieką.

Helunia nic nie odpowiedziała; smutny uśmiech ożywił jej twarz.

— Widzisz, moje dziecko—mówił dalej p. Jędrzej—drogi u nas są złe, dzisiejsza rada powiatowa nic nie robi... nie łatwiejszego jak kark złamać, osobliwie jadąc w nocy...

Spostrzegł się p. Jędrzej i poprawił:

— Chciałem powiedzieć: złamać koło lub dyszel...

Helunia uśmiechnęła się gorzko. Wzięła ojca za rękę i przyłożyła ją do gorącego czoła. Obfity potok łez puścił się z jej oczu.

— Uspokój się dziecko — zaszlochał p. Jędrzej — i staraj się usnąć. Sen jest dla ciebie najlepszym lekarstwem. W Bogu nadzieja, że dzień jutrzejszy przyniesie nam coś lepszego.

Pocałował ją w czoło i wyszedł. W pokoju Heluni została tylko matka.

XII.

Nazajutrz zeszło pogodnie słońce. Wszyscy w Konopówce powstawali wcześniej, a nawet Helunia była ubrana. Napozór zaczęto dzień zwykłym trybem; p. Jędrzej obchodził stajnie i gumno, pani Jędrzejowa wydawała rozkazy w kuchni i w mleczarni, a Helena wyszła do ogrodu, aby tam zarządzić dzienne roboty.

Mimo tego czuć było we dworze jakąś katastrofę, do której wszyscy się gotowali. P. Jędrzej nie krzyknął ani razu na parobka, choć widział to i owo; w stajni pogryzły się konie, na gumnie dziwnym sposobem znalazło się kilka snopów owsa, z czego gumienny nie umiał się wytłumaczyć. P. Jędrzej puścił wszystko płazem; był zamyślony i szedł jakby przed sobą nie widział.

To samo znać było na pani Jędrzejowej; była łagodna jak baranek, uśmiechała się do dziewczek i nie słyszała żadnej skargi wniesionój.

Helena przeszła cały ogród kilka razy wszerek i wzdłuż, nie spostrzegłszy chłopaków siedzących w bruździe. Szła zamyślona.

Na śniadanie zeszła się cała rodzina. Długi czas nikt się nie odezwał; wreszcie zabrał głos p. Jędrzej:

— Przecież nie można zaraz rzucić kamieniem na człowieka, nie wysłuchawszy go. To, co żyd nasz powiada, jeszcze nie stwierdzone. Nic łatwiejszego jak się o tém przekonać. Niech tylko przyjedzie!

— Jeżeli przyjedzie—odpowiedziała p. Jędrzejowa—to właśnie potwierdzi co o nim mówią; a przecież nie przyjedzie po to, aby nam opowiadać o Pałaczkach.

— Hola!—zawołał imponująco p. Jędrzej—już mnie tam w pole nie wyprowadzi. Znam się na farbowanych lisach... Ułożyłem sobie naprzód całą rozmowę, jaką z nim prowadzić będę. Przyprę go tak do muru, że mi się nie wywinie.

Helena uśmiechnęła się z ironią. Był to uśmiech złowrogi; zdawało się, że więcej wiedziała, czy raczej przeczuwała do rodziców.

— Z pierwszych słów jego, poznam jak rzeczy stoją—prawił dalej p. Jędrzej—a jeżeli rzucę mu jak wędkę jedno i drugie słówko, to z odpowiedzi jego domyślę się wszystkiego. Sztuką barany tłuką!

Zapalił fajkę i szerokim krokiem zaczął chodzić po pokoju; był tak pewny siebie, jak dyplomata udający się na kongres europejski.

P. Jędrzej nie dopalił jeszcze fajki, gdy szyba zabrzęczała w drugim pokoju. Pospieszył do okna: do bramki wjeżdżał właśnie wózek p. Józefa.

— Tylko proszę was—zawołał do przyległego pokoju—tak jakby nigdy nic nie było. Przyjąć go dyplomatycznie. Zostawcie mnie przy słowie, a wy tylko słuchajcie.

Nikt nie oponował; p. Jędrzej objął ster domu.

Najprzód uznał za stosowne nie wyjść na spotkanie gościa. Wziął do ręki kalendarz i zaczął czytać. Kobiety cofnęły się do swoich komnat.

Otworzyły się drzwi — wszedł pan Józef.

Miał on nie mniejsze od p. Jędrzeja zadanie: katastrofa majątkowa, która go dotknęła, zmieniała całe jego położenie. Dzisiaj odebrał wiadomość z Wiednia, która to wszystko potwierdziła, czego się mógł obawiać. Sztucznie ulepiony gmach dobrobytu państwowego runął nagle w gruzy, banki i przedsiębiorstwa upadły, za nimi poszły domy bankierskie i handlowe. Straszna klęska dotknęła wszystkich, którzy zapłaconym dziennikom i mowom ministeryalnym uwierzyli. Papierowe miliardy zniknęły a została nędza, ubóstwo i rozpacz.

W téj chwili był on takim, jakim był przed sukcesyą, gdy w Pałaczkach go nie znano. Może i w Konopówce nie myślano pierwój o nim...

W Pałaczkach powiedziano mu od razu, aby o niczém nie myślał. Niezawodnie wiedziano już wtedy o krachu; inaczej nie postąpionoby sobie z nim tak obcesowo. Aurelia zupełnie innym przemówiła do niego językiem; dla jego pieniędzy podejmowano go tam, a gdy tych nie było, pokazano drzwi.

Czy w Konopówce inaczej będzie? Czy pierścioneł narzezonego będzie tak silnym ogniwem, aby nie pęłł? Słowa Anny, że ludzie do mienia wiele przywiązują, brzmiały mu jeszcze w uszach, jak głos Eumenidów ścigających złoczyńcę. Czyż on choćby na chwilę nie był złoczyńcą? Czyż za to nie nastąpi kara sprawiedliwa?

Takie myśli biegały po głowie p. Józefa. Na to odpowiadało mu serce: Czyż miłość kobiety ma być tak krucha, aby ją lada podmuch mógł rozerwać? Czyż może cofnąć Helena uczucia swoje na widok jego nieszczęścia? Czyż jej nie wystarcza zagon rodzinny, na którym przy pracy i oszczędności można żyć szczęśliwie?

Wszystko to kłębiło się teraz w duszy biednego rozbitka, a najgorszą z wszystkiego była niepewność, jak go teraz przyjmą?

W takim nastroju był p. Józef, gdy wszedł do pokoju.

P. Jędrzej podniósł oczy z kalendarza.

— Aa, pan Józef — ozwał się podając mu chłodno rękę, ale nie całując go jak to zawsze czynił.

P. Józef uśmiechnął się gorzko.

— Ten sam Józef—odpowiedział z naciskiem—przecież się nie zmieniłem od czasu naszych ostatnich uścisków.

P. Jędrzej zaczął nakładać fajkę.

— Nie zmieniłem się...—mówił niby do siebie—żyjemy w epoce pary i telegrafu... błyskawicą przenosimy się z miejsca na miejsce... rano marznie nam nos a popołudniu pali nas słońce południowe. I jakże to mówić, że się człowiek nie zmienia?

P. Józef zachmurzył się; było coś niedobrego w tych słowach. Obejrzał się wkoło.

— Gdzież są panie?—zapytał—chciałbym wiedzieć, czy i one obaczą jaką zmianę?

P. Jędrzej kontent był z tych słów. Nie było mu na rękę, że kobiety cofnęły się; chciał, aby były obecne dyplomatycznej jego rozmowie; w trudnym położeniu mogły mu nawet dopomóc. Zawołał je.

Zanim kobiety nadeszły, nie wyrzekł ani słowa. P. Józef wziął to milczenie za znak niedobry; wiedział, że coś się gotuje. Po jakimś czasie weszły kobiety. Helena przyniosła z sobą robótkę, na którą z uwagą patrzyła. Przywitanie było chłodne ale uprzejme.

— Słusznie mówią — rzekł p. Józef — że wypadki zmieniają człowieka. Imć pan Jędrzej prawie mnie nie poznał.

— Jedna chwila może zmienić człowieka—odpowiedziała pani Jędrzejowa sztywnie—a to nas tylko pociesza, że w takim razie wszyscy się zmieniamy.

— Czy i pani—zwrócił się p. Józef do Heleny—ulegasz tak łatwo, gdy się wkoło pani coś zmieni?

— Nie inaczej — odrzekła Helunia, nie podnosząc oczu od robótki—wypływa to z natury rzeczy.

P. Józef zacerpnął powietrza. O przebyłym pojedynku nikt nie wspominał; a przecież była to gra o życie. Czyż życie jego było na drugim planie a majątek na pierwszym?

— Są katastrofy—rzekł w rozdrażnieniu—które do gruntu mogą zmienić człowieka; gdy pomyśli, że jedna chwila rozstrzyga o jego życiu... że błysk płomienia jest zarazem wyrokiem bez apelacji...

P. Jędrzej uznał za stosowne pochwyć w swoje ręce ster rozmowy, tak ważnej w następstwa. Machnął z lekceważeniem kilka razy ręką i rzekł:

— Co tam błyski i pukanie dla kogoś, który tyle razy strzelał się i rąbał! To tak jakby pies muchę połknął. Pojedynek może tylko wtedy zmienić człowieka, gdy nos lub ucho straci. A ty, panie Józefie, wyszedłeś jak widzę cały z téj pukaniń. Bóg strzeże czasem człowieka, aby go zachować na gorsze rzeczy.

Humor p. Jędrzeja, z jakim sprawę pojedynku poruszył, dotknął żywo p. Józefa. Ostatnie słowa wyraźnie już zmierzały do innej sprawy, o której dzienniki donosiły.

— Człowiek sam nie wie—rzekł po chwili—kiedy gorsze rzeczy mogą go spotkać.

— Najgorsze — podjął szybko p. Jędrzej — są te, które człowiek sam sobie gotuje.

— Przecież nie robi tego w złym zamiarze?

— Zawsze jest zły zamiar, jeżeli człowiek wyżej nos podnosi, aby zajrzeć przez płot, który stanowi granicę jego dotychczasowego szczęścia.

— Jest to rzeczą ludzką piąć się wyżej, jeżeli okoliczności na to pozwalają.

— Otóż to grzech, za który potem pokutować trzeba. Mniejsza jeszcze jeżeli sam człowiek pokutuje, gdy jednak innych przy tém w przepaść nieszczęścia strąca, którzy mu w dobrą wiarę zaufali...

— Przyznaję się do błędu, zem nie umiał w porę zapanaować nad sobą...

Helena drgnęła przy tych słowach i zbladła. P. Jędrzej zerwał się na równe nogi.

— Na cóż nam przyda się to wyznanie pana? Fakt pozostanie zawsze faktem, który wszystko między nami zmienić musi.

— Z marzeń gorączkowych można się cofnąć do skromnej, dawniej rzeczywistości.

— Nie złapiesz starego wróbla na muchę! Kto nizki dworek szlachecki porzuci, choćby w myśli tylko, aby bujać po wysokich komnatach pałaców, dla tego skromna rzeczywistość jest zamknięta!

P. Józef zacisnął usta.

— Czy i pani jest tego zdania?—zapytał Heleny.

— Zgadzam się z ojcem—odpowiedziała z odwagą—ale oczu od robotki nie podniosła.

P. Józef poczerwieniał.

— Nie wiedziałem, że serce ludzkie jest tak słabe.

— Nie trzeba go było wystawiać na próbę—dodała pani Jędrzejowa z miną sztywną.

— Aby uleść i innych o nieszczęście przyprawić — uzupełnił p. Jędrzej.

— Uległem, to prawda, ale ze mną uległo tak samo ty się!

— Trzeba było należyć do wyjątków!

— Przecież nikt za to kamieniem na mnie nie rzuci?

— Kamień często pada z ręki samego Boga na tych, którym się zdaje, że ich kamienie ludzkie nie dosięgną. Pycha bywa zawsze ukarana.

P. Józef zwiesił głowę. Przypomniawszy sobie, jak nieraz wobec p. Jędrzeja budował domki na lodzie, jak mu zamało było Jodłówki, jak zapragnął klucza Sosnowieckiego... jak mówił o stadninie, o parowych pługach.

— Bóg może ukarać człowieka za pychę—rzekł po chwili—ale po wyroku nie powinni się ludzie z niego naigrawać.

P. Jędrzej ruszył ramionami.

— Ludzie są ludźmi i nie trzeba żądać aby byli aniołami. Może tam w niebie inaczej, ale tu na ziemi trzeba się zawsze borykać z losem, płacić raty bankowe i zaległe podatki.

P. Jędrzej przystąpił po tych słowach do swojej szyby, aby przez nią na świat spojrzeć i choć na chwilę o podatkach i ratach zapomnieć. P. Józef nie miał żadnej szybki dla pocieszenia swego, zbliżył się więc do stołu i spojrzął w oczy Heluni.

Oczy Heluni były w większej części długą rzęsą przykryte. Nie mógł nawet widzieć tych oczu, i odczytać, co się w jej sercu dzieje. Trzeba było słów wyraźnych.

— Po tém, co ojciec powiedział, nie wiem już sam, o co mam panią zapytać. Z wysokich komnat pałacu schodzę do nizkiej izdebki dworku; być może, że moja w tém wino—czy możesz mi pani ją przebaczyć?

— Czy moje przebaczenie jest panu koniecznie do szczęścia potrzebne?

— Bez niego niema dla mnie szczęścia.

— Zbyt wiele żądasz pan dla siebie.

— Czyż to byłoby tak wielką ofiarą dla pani?

— Jak możesz pan o to jeszcze pytać?

— Dlatego, że tak zwanych cichych i milczących ofiar nie mógłbym nigdy mieć na swoim sumieniu.

— To już na mnie zawiele! Do takiego heroizmu wznieść się nie umiem!

— A ja tak liczyłem na panią... nawet mogę wyznać, że zasłużyłem sobie na to.

Helena z zadziwieniem podniosła oczy na niego; były one w téj chwili tak piękne, tyle było w nich smutku, że p. Józef zadrżał cały. Widział w tych oczach wspomnienie minionych chwil szczęśliwych i żał, że już nigdy nie wróca. Widział wyraźnie walkę serca ze smutną rzeczywistością, o której niedawno wspomniął p. Jędrzej. Do ich szczęścia trzeba było widocznie pieniędzy, a tych już nie miał.

— Ciekawam—zapytała Helena—co pan do swoich zasług liczysz? Przecież nie policzysz pan owych marzeń, które pan wzbudzałeś, owych snów cichych i przyjemnych, których przyczyną byłeś! Dla serca mogą one być szczęściem... jeżeli zaś z niemi koniecznie rozstać się trzeba...

— Więc pani z niemi się rozstajesz w téj chwili...

— Jeżeli konieczność nieublagana tego wymaga...

— Konieczność wymaga?

— Konieczność wywołana postępkami pana...

— Więc tak sądzi pani jak ojciec...

— Zupełnie zgadzam się z ojcem.

— W takim razie...

— W takim razie... niech pan zakończy...

P. Józef zdjął machinalnie pierścionek z palca i zaczął nim się bawić. Pani Jędrzejowa porządkowała tymczasem książki na drugim stoliku, a pan Jędrzej patrzył ciągle przez

szybę, jakby wyglądał cudu jakiego. Brakło mu teraz odwagi do zakończenia tak ważnej sprawy domowej.

Dopomogła mu Helena. Widząc zamiar p. Józefa, zdjęła szybko pierścionek z drżącego palca i położyła na stole. Zarumieniła się i zbladła, ale oczu nie podniosła do góry.

Pan Józef zobaczywszy przed sobą pierścionek, drgnął cały... lecz po chwili podniósł z dumą głowę do góry.

W milczeniu pomieniał pierścionki i wstał z krzesła ukłoniwszy się Helenie.

W téj chwili w bramie ujrzał pan Jędrzej proboszcza, z pękiem papierów pod pachą. Nie kontent był z tego gościa, który mu w zakończeniu sprawy domowej mógł przeszkodzić; odwrócił się od okna. Pan Józef stał przed nim z kapeluszem w rękę, jakby chciał się z nim żegnać.

Zal mu się zrobiło, że po raz ostatni widzi go w domu swoim.

— Czy już odjeżdżasz, panie Józefie?—zapytał niespokojnie, czując, że energia od niego ucieka — chciałem ci jeszcze jedno słowo powiedzieć...

— Już powiedziała panna Helena — odparł butnie pan Józef.

P. Jędrzej nie wiedział na razie, czy się ma z tego cieszyć, czy smucić. Helena wyręczyła go wprawdzie z trudnego obowiązku, ale z drugiej strony sam fakt był dla niego bardzo bolesny. Nie pozostało mu więc nic innego, jak przyjąć w milczeniu rękę p. Józefa i uścisnąć; a ścisnął ją tak silnie, jakby chciał go ukarać za haniebny zawód wyrządzony jego domowi.

Gdy p. Józef biegł na ganek, spotkał się z ks. proboszczem.

— A cóż tam panie Józefie—zapytał proboszcz.

— Pieniądze, pieniądze przedewszystkiém! księżę proboszczu—odparł p. Józef i skoczył na wózek.

Za chwilę wszedł proboszcz do pokoju.

— Przynoszę ci gazety, szanowny kolatorze, chociaż sam ich jeszcze nie czytałem.

— Co mi tam gazety! — zawołał p. Jędrzej — pieniądze, pieniądze dzisiaj przedewszystkiém! Dla pieniędzy i pałace się otwierają.

Rzekłszy to, rzucił gazety do kosza.

Proboszcz patrzył na to wszystko zdziwiony. Nie rozumiał wykrzykników o pieniądzach i pogardy ulubionych gazet.

XIII.

Ponad stolicą państwa przeciągnęła straszna burza; zdawało się, że szeroki Dunaj porwany wirem w powietrze przepłynął ponad domy wesołego miasta. Pierwsze gromy minęły, ale jak straszny widok zostawiły za sobą.

Ludzie biegali po ulicy jak obłąkani; stawali przed tym i owym pałacem, wołając: I ten dom upadł!

Domy stały jak dawniej, a ci, co tak wołali, podobni byli do istnych waryatów. Zmięte, podarte szaty, zabłocone buty i włosy rozburzone zdradzały pomieszanie zmysłów. Ich oczy świeciły się jak oczy wilka; twarze pały gorączką a zęby szczyrzyły się jak u hyeny.

Biedni ludzie! Domy magnatów giełdy nie runęły, jak się w gorączce zdawało, nie zapadły się złocone balkony i karyatydy kamienne — tylko przepadło całe mienie owym domom handlowym, bankom i spółkom powierzone.

Stolica naddunajska była jednym, wielkim obrazem rozpacz. Fałszywie pojęty zysk i zarobek wyprawiał teraz orgie piekielne.

Spółki, które miały zarabiać miliony, banki, które dawały niesłychane procenta, przedsiębiorstwa mające wypłacać bajeczne dywidendy — wszystko to runęło jak karciane zabawki dzieci.

Apostołowie tak zwanój fruktyfikacji kapitału pochowali się w nory, na placu zostały poległe ofiary przewrotności lub zbroczenia umysłowego.

Piekielna teoria łatwych zysków oszukała zacną pracę i oszczędność, wydobyła z najciemniejszych kryjówek grosz

ciężko zarobiony i utopiła go w bezdenną paszczy nowożytnego molocha.

Nowi ludzie podnieśli się nagle z cuchnącego śmieciska, nowe pałace wystrzeliły z ziemi a miliony skromnych pracowników popadło w nędzę i ubóstwo.

Liczne samobójstwa znaczyły szlaki nieszczęśliwych a domy obłąkanych zapelniły się tymi, którzy nie mieli odwagi targnąć się na swoje życie.

Jeszcze świeciła nad miastem luna przebytych orgij giełdowych, jeszcze tu i owdzie pękała spóźniona bomba, jeszcze słyhać było trzask rozpadających się gruzów; dzienniki stolicy notowały jeszcze skrętnie różne katastrofy tragiczne, jakim ulegały całe rodziny; przed domami spółek i banków gromadziły się jeszcze tłumy, grożąc słowem i pięścią ich mieszkańcom i funkcjonaryuszom.

Przy jednej z nowych ulic, utworzonych z dawnych fortecznych wałów miasta, stał dom okazały o żelaznych na dole okiennicach. Zaraz przy bramie były drzwi z matowego kryształu, a na nich napis złoty: *Kantor wekslu*; nad drzwiami było nazwisko wekslarza: *Joachim Rotszyld*. Wszystkie okna od tych drzwi aż do rogu były opatrzone kratami złoconemi.

Przez bramę wchodziło się na obszerny dziedziniec, w głębi którego świecił się czerwony napis: *Geld für Alles, pieniądze za wszystko!* Pod tym napisem była firma téj szlachetnej instytucji, ale tak nieczytelna, że jój od razu odczytać nie było można.

W samym rogu były wazkie drzwi żelazne, prowadzące do korytarza tak wazkiego, że tylko jeden człowiek mógł się przesunąć. Ci, którzy ten korytarz znali, nazywali go z wenecka *korytarzem westchnień*. Prowadził on do sklepionych suteryn, w których wieczny zmrok panował. Z suteryn wychodziło się na boczną, ciasną uliczkę. Było to główne wejście do drugiej instytucji innej firmy, która na niepokażne zastawy pozyczała pieniędzy.

Jakkolwiek p. Joachim Rotszyld w przyjacielskich kółkach swoich nazywał się bankierem, a w dalszych wekslarzem; jakkolwiek z tylnymi firmami nie miał nic wspólnego, opinia jednak całej ulicy uważała go za głowę wszystkich w tym domu znajdujących się instytucji, nie wyłączając nawet kawiarni po drugiej stronie domu, a obsługiwaną przez pleć nadobną. Były to wprawdzie inne firmy, ale razem miały stanowić rodzinę bogatego człowieka.

Firma domu: *Joachim Rotszyld* nie miała nic wspólnego ze znaną europejską firmą. Przypadek jednak takiego nazwiska posłużył nieznanemu dotąd człowiekowi wznieść się w tych czasach dosyć wysoko; liczne inseraty w dziennikach krajów koronnych zwabiły mu znakomitą klientelę. Mniemano, że to filia owój firmy europejskiej; powierzono jej ważne interesa giełdowe, bo ze wszystkich firm bankierskich najwięcej obiecywała.

Ofiarą tej zrecznój mistyfikacy padła także Galicya. Znalazło się wielu amatorów gry giełdowej, którzy tej firmie swoje kapitały oddali.

Katastrofa tak zwanego krachu dotknęła także fałszywego Rotszylda; ogłosił on wielkie straty na losach tureckich i Anglobanku, i postanowił wycofać się z dotychczasowego zawodu.

Sprowadziło to niemało kłopotów na biednego wekslarza. Klienci napadali go masami, grozili mu a niektórzy nawet dopuścili się na jego osobie czynnej satysfakcyi.

Jedno z tych zadośćuczynień stało się głośnem w całej stolicy. W eleganckiej kawiarni, gdy p. Joachim przy jakimś wyszukany napoju siedział i językiem cmokał, przystąpił do niego jakiś butny jegomość i wobec licznych jego przyjaciół nazwał go złodziejem, podłym psem, zarzucił mu szacherkę; a gdy p. Joachim zamiast odpowiedzi opieki policyanta zażądał, uderzył go jegomość najprzód kijem sękatym w kapelusza a potem zamaszczę dłonią w twarz po obu stronach. Na domiar pogardy plunął jeszcze na niego.

Potrójna ta obelga była już spełnioną, gdy policyant nadzedł. Na marmurowym stole przed p. Joachimem leżała tylko karta wizytowa śmiałego mściciela poszkodowanych, z nazwą ulicy i numerem domu, schodów i drzwi, które do nich prowadzą.

Była to figura znana, zajmująca wyższe stanowisko w mieście. Przyjaciele p. Joachima orzekli jednogłośnie, że obelgę taką może tylko pojedynek zmazać. Do tego jeszcze rozniosły tę awanturę wszystkie dzienniki stołeczne i napomknęły przytem, że p. Joachim zażąda od przeciwnika zadośćuczynienia bronią honorową.

Zrazu myślał p. Joachim, że zamknąwszy się w swoich bogatych komnatach przeczeka głupią opinią, która mu strzelać się każe. Przeciwnik jednak nie dał mu spać spokojnie, na zdobytych szacherką pieniądzech; w dziennikach pojawiały się

inseraty codzienne z zapytaniem, czy p. Joachim Rotszyld załatwił już sprawę honoru? Humorystyczne pisma wzięły go za przedmiot różnych dowcipów i rysowały karykatury z niego. Raz przedstawiały go w żelaznym pancerzu, w jaki odziewają się okręty wojenne, drugi raz ubierały go w pierzynę i poduszki—stosownie do tradycji rodowej. P. Joachim nie mógł spać ni jeść... i na cóż przydały mu się jego pieniądze?

Widział on konieczną potrzebę pojedynku, ale nie mógł o nim pomyśleć bez drżenia, które go potem oblewało. Przypisywał to rozdrażnieniu nerwowemu i osłabieniu sił fizycznych. Wezwał lekarzy, karmił się chiną i żelazem, ale to nic nie pomogło. Groza pojedynku sprawiała mu śmiertelną drgawkę. Dziwił się, jak mogą ludzie z zimną krwią strzelać do siebie. Przyjaciele ubolewali nad nim i wyraźnie mu powiedzieli, że tak dalej zostać nie może. Zagrozili mu, że go opuszczą, jako człowieka shańbionego.

P. Joachim Rotszyld był blizkim rozpaczki. Przypadkiem czy też z umysłu przysłano mu broszurę, która miała tytuł: *Elektryka, środek na wszystko*.

Broszurę tę przeczytał jednym tchem. Lekarz—materyalista—dowodził w niej, że wszystkie szlachetne popędy w człowieku zależą od mniejszych lub większych prądów elektrycznych w jego nerwach. Dowodził, że zapomocą wynalezionej przez niego maszynki elektrycznej można w sobie rozbudzić mniejszą lub silniejszą energią, zapał, odwagę, a nawet myśli niepowszednie, które dotąd były przywilejem geniuszów i talentów.

Otóż pan Joachim Rotszyld, idąc za poradą tego uczonego, kupił maszynkę elektryczną i rozpoczął kuracyą.

Kuracya przyniosła świetne skutki. Codzienne pochłanianie elektrycznych prądów wróciło mu młodość, podwoiło energią i popchnęło go do pomysłów prawdziwie genialnych. Zrobił kilka świetnych choć bardzo ryzykownych interesów, wspólnika swego okpił zręcznie na grubą sumę a od biednych ofiar swoich potrafił jeszcze wyłudzić ostatek mienia.

Ale ta rozbudzona energia przyniosła mu tylko nowe obelgi, a o pojedynku nie mógł ani na chwilę pomyśleć.

Wesołe dzienniki wносиły ztąd, że elektryka może w człowieku tylko to spotęgować, co w nim jest, ale tego dać nie może, czego w nim niema. W panu Joachimie zdwoiła ona tylko energią—do szachrajstwa, ale odwagi do pojedynku mu nie dała.

P. Joachim targał się za włosy, pluł z gniewem na dywany francuzkie, potraçał z pogardą worki z pieniędzmi w swoich kasach żelaznych, ale o pojedynku nie mógł ani na chwilę pomyśleć. Wymówiony ten wyraz chwycił go kurczowo za serce, kolana zginały się pod nim, ciarki biegały po grzbiecie.

I na cóż mu wszystkie jego bogactwa? W dziedzińcu jego domu błyszczą napis: *Pieniądze za wszystko, Geld für Alles*. W dawnych marzeniach swoich przekreślał nieraz te wyrazy na: *Alles für Geld! Wszystko za pieniądze!*... Dzisiaj fatalne te słowa nie dadzą się przekreślić, wszystkiego za pieniądze dostać nie można.

W ostatniej chwili zwątpienia ulitował się Bóg nad patriarchą rodu, jak się ongi ulitował Jehowa nad Danielem w jaskini dzikich zwierząt.

Do drzwi obitych blachą zapukał Habakuk.

Miał on na sobie zwyczajną szarą kurtkę, twarz rumianą zdrowego człowieka, na skroni dwa razy ciętą jakimś ostrem narzędziem. Miał duże wasy butnie skrecone i oczy pełne ognia. Na ramieniu wisiała mu torba podróżna niezwyklego kształtu. Mina była śmiała i wyzywająca.

Gdy p. Joachim takiego gościa ujrzał przed kratką żelazną, którą z wiadomych przyczyn przedzielił swój kantor na dwie połowy, doznał przykrego wrażenia.

— Czy pan jesteś Joachim Rotszyld? — zapytał gość łamaną niemieczyzną.

— Czego pan sobie życzysz? — odparł wymijająco p. Joachim.

— Chciałbym mówić z panem Joachimem.

— W sprawach pieniężnych jest tylko firma, a mniejsza o to, kto z publicznością się styka.

— Mam osobisty interes wielkiej wagi.

P. Joachim namyślał się czas niejaki. Mógł być interes dla niego korzystny, a żelazna krata chroniła go od możliwych obelg.

— Ja jestem ten o którego pan pytasz — odpowiedział, oddalając się o dwa kroki od kraty.

Gość wy dobył z pugilaresu jakieś papiery.

— Jestem Józef Strzemie** a tu jest moja legitymacja. Czy znasz pan te Antheilsscheine, te kwity na zakupno losów tureckich, rumuńskich i anglobanku.

P. Joachim spokojnie usiadł przy biurku.

— Mój panie—rzekł z flegmą—gra jest grą. Kazałeś mi pan grać—grałem; kazałeś pan kupować na dyferencyą—kupowałem. Przegraliśmy—cóż ja winien? Daję słowo honoru, że ja sto razy więcej straciłem od pana. Cóż te mizerne trzydzieści tysięcy?

— Mówiono mi, że pan nie zakupiłeś tych spadłych papierów przed „krachem”, tylko potem dopiero wykazałeś stratę fikcyjną.

— A cóżby było, gdyby te papiery zamiast spaść poszły do góry? Musiałbym panu zapłacić. To była moja gra.

— Więc pan w owym czasie nie zakupiłeś dla mnie papierów?

— To pana nie obchodzi. Graliśmy obaj. Pan kazałeś kupić, a mnie wolno było na moje ryzyko nie kupić. Pan przegrałeś, a ja wygrałem.

Pan Józef milczał chwilę. Prawo było po stronie wekslarza. Zacisnął zęby.

— Więc cała moja wkładka stracona?

— Należy mi się jeszcze sto dwadzieścia cztery guldeny i pięćdziesiąt trzy centy — odpowiedział p. Joachim, czytając w wielkiej księdze.

Ostatnia pasya porwała szlachcica. Rozpiął podróżną torbę i wyjął z niej jakieś dwa zagadkowe przedmioty, których za ciemną kratą nie mógł dobrze rozpoznać p. Joachim. Na każdy jednak wypadek pochylił się więcej nad biurkiem.

— Jesteś oszustem i złodziejem!—krzyknął p. Józef z poza kraty — procesować cię nie będę, ale musisz się ze mną strzelać... chociażby tutaj w tój jaskini łotrowskiej. Bierz prędko broń!

Rzekłszy to, położył na kracie dwie lufy pistoletu.

P. Joachim miał przyrząd przy biurku, zapomocą którego oznajmiał policyantowi stojącemu na ulicy niebezpieczeństwo grożące.

Już chciał nacisnąć sprężynę, gdy jakaś myśl lepsza przyszła mu do głowy.

— Ja strzelać się nie będę — odparł z wesołym uśmiechem — zabrakłoby mi czasu, gdybym z wszystkimi klientami w ten sposób sprawy pieniężne załatwiał.

— To ci sam strzelę w łeb jak psu!—wrzasnął pan Józef, wkładając lufę pomiędzy kratę.

P. Joachim zrobił ruch ręką, jakby jój chciał użyć za tarczę.

— Zaczekaj pan! — zawołał — możemy pokojowo naszą sprawę załatwić; pocóż zaraz huku i puku?

P. Joachim miał w tój chwili jowialny wyraz na twarzy; patrzył z pewnym zadowoleniem na ożywioną twarz gościa, na której dwie blizny poczerwieśniały jak smugi ogniste. Oczy jęgo rzucały błyskawice.

— Czekam odpowiedzi! — wołał p. Józef, bawiąc się cyn-
głem.

— Hm, hm — mruczał p. Joachim — odpowiedzi tak zaraz tutaj dać nie mogę... wkoło otaczają mnie moi ludzie, chociaż pan ich nie widzisz. Możemy się zejść na konferencyą w mojem prywatnym mieszkaniu.

P. Józef pomyślał chwilkę. Czyż miałby to być wybieg wekslarza? Czy chce on złapać go w matnię? Jakież mogło mu grozić niebezpieczeństwo?

P. Józef nie znał żadnego niebezpieczeństwa, gdy miał przy sobie parę pistoletów. Postanowił jednak być ostrożnym i na wszystko dobrze uważać.

— A gdzież mam iść? — zapytał już słabszym głosem.

— Pierwsze schody, pierwsze piętro, numer 3.

— Czy zaraz?

— Zaraz.

P. Józef wyszedł do sieni.

XIV.

W sieni stał jakiś człowiek niepokaznie ubrany i pilnie przypatrywał się butnej figurze pana Józefa. Mierzył go od stóp do głów, jakby go chciał oszacować na pieniądze; zbliżył się do niego i wskazał na podwórze.

— Tu mój panie—rzekł do niego uprzejmie.

— Gdzie?—zapytał szorstko pan Józef.

Niepokaźny człowiek pokazał mu lśniący napis w dzięcińcu: *Geld für Alles*, pieniądze za wszystko.

P. Józef przeczytał kilka razy te szczególne słowa.

— Cóż to jest?—zapytał nieznajomego.

— To, co pan czytasz—dajemy pieniądze za wszystko.

P. Józef rozśmiał się gorzko. Przypomnił sobie swoje przygody w Pałaczkach i w Konopówce.

— Zły napis—odrzekł—powinno być: *Wszystko za pieniądze*.

Obaczywszy schody, wbiegł szybko na nie.

Otworzył wskazane drzwi i wszedł do pokoju. Ostrożnie obejrzał się wkoło. W pokoju nie było nikogo. Francuzkie dywany zaścielały podłogę; rzeźbione meble stały przy ścianach, przeglądając się w olbrzymich zwierciadłach; atmosfera była wonna i przyjemna.

Za chwilę z bocznych drzwi wyszedł uprzejmy gospodarz. Na twarzy miał uśmiech słodki, z oczu biło niepospolite zadowolenie. Powitał gościa jak dawnego przyjaciela, podał mu rękę i posadził na aksamitnym fotelu; potem wyjął z palisandrowej szkatułki olbrzymie cygaro.

— Wypal pan ze mną fajkę pokoju, jak mówią indyanie—rzekł do pana Józefa, podając mu cygaro.

Ostrożnie wziął pan Józef z rąk wiedeńskiego indyanina produkt hawański i z ciekawością spojrział na niego. Sytuacja stawała się zagadkową.

Oblicze p. Joachima było w tej chwili tak zacne i uczciwe, że p. Józef przestał obawiać się pułapki. Zapalił szlachetne cygaro i czekał na pierwsze słowo.

P. Joachim milczał, jakby zbierał myśli swoje. Chciał mu dopomódz p. Józef.

— Ciekawy masz pan napis w dziedzincu—ozwał się—*Geld für Alles!*

— Zaprawdę, szcycimy się taką instytucją. Jest to dobrodziejstwo dla najbiedniejszej ludzkości; kiedy nikt nie da—my dajemy.

— Przecież nie na słowo?

— Słowo nie jest przedmiotem realnym. Musi być przynajmniej jakiś sprzęt domowy, choćby ostatni...

. Krótka pauza nastąpiła.

— A gdyby te słowa przełożyć?—zapytał p. Józef.

— *Alles für Geld?*

— Tak...

— Tego pisać nie trzeba, bo to rozumie się samo przez się.

P. Józef uśmiechnął się i pokręcił głową. P. Joachim z uwagą patrzył na niego.

— Pan masz blizny na skroni—przerwał medytacją gościa—czy mogę zapytać, z kąd one pochodzą?

— Z pojedynku.

— Czy pan się strzelałeś, czy biłeś na pałasze?

— I tak i tak.

P. Joachim cmoknął językiem.

— Śliczne, piękne blizny. Dałbym za nie trzydzieści tysięcy, gdybym je mógł mieć na mojem czole.

— Można je mieć zadarmo.

— Ba, ale trzeba się pierwój strzelać, a strzelanie to więcéj warte niż trzydzieści tysięcy!

— Nie lubisz pan strzelać się?

— Nie jestem wojskowy, nie uczyłem się nigdy tego rzemiosła; nie moja to wina.

P. Joachim westchnął a p. Józef rozśmiał się na to skryte cierpienie zacnego gospodarza.

Dotąd nie mógł go zrozumieć; nie mógł pojąć, co znaczy ta niezwykła grzeczność wekslarza. Był przygotowany na awan-

ture, chciał roztrzaskać mu głowę lub przynajmniej guza nabić, tymczasem złagodniał adwersarz jak baranek, a nawet miał względem niego jakieś lepsze zamiary. Cóżby to być mogło?

— Jeżeli się nie mylę—ozwał się p. Joachim po krótkiej pauzie—straciłeś pan na giełdzie trzydzieści tysięcy.

— Właściwie pan tak mówisz...

— Mniejsza o to... tak w książce zapisane... chciałem tylko wiedzieć, czy ta strata jest dla pana bardzo dotkliwą?

— Nie mam powodu taić się z tém—jestem prawie zrujnowany!

— Bankructwo—to wielkie nieszczęście!

— Gdyby to chodziło tylko o pieniądze!

P. Joachim przysunął się bliżej do swego klienta, z nieznacznym uśmiechem zadowolenia.

— Jaką szkodę poniosłeś pan jeszcze?—zapytał z nietaną ciekawością.

P. Józef przesunął ręką po czole.

— Pan tego nie zrozumiesz!

— Dlaczego nie zrozumiem?

— U pana widzę wszędzie napis: *Geld! pieniądze!*

— Pieniądze to wszystko!

P. Józef chciał na to coś odpowiedzieć, ale po chwili namysłu zwiesił smutno głowę na piersi.

— Masz pan słuszość—rzekł po chwili—pieniądze to wszystko!... Przyjaźń—to pieniądze! Miłość—także pieniądze!

Dwa ciężkie przeciągłe westchnienia dały się słyszeć równocześnie. P. Józef westchnął, bo w to co wyrzekł, wierzył w tej chwili. P. Joachim westchnął także, bo nie wierzył w tej chwili w to, do czego przez całe życie się modlił.

P. Józef był przekonany, że utrata sukcesyi i dorobionych spekulacją kroci stała się powodem jego nieszczęścia. Zamknęły się przed nim podwoje pałacu, a w Konopówce oddano mu pierścionek.

P. Joachim do innego przyszedł rezultatu. Wierzył on tylko w pieniądze i był przekonany, że za pieniądze wszystko mieć będzie. Dzisiaj zmienił zdanie swoje, bo do szczęścia brakowało mu czegoś, czego za pieniądze nie mógł kupić. Ta była różnica tych dwóch westchnień, które teraz równocześnie odbiły się o kryształowe, weneckie zwierciadła, przesunęły się po rzeźbionym pułapie i w miękkich utonęły dywanach.

— Czy masz pan żonę? — zapytał po chwili p. Joachim.

— Nie mam — odpowiedział smutno p. Józef.

— Więc kochałeś się pan?... O znam ja tę rozkosz i te cierpienia!... Gdy byłem młody i pieniędzy nie miałem wiele... Adora miała tak czarne oczy jak dwa węgle, gdy jeszcze iskra ognia na nie nie padnie...

— Zrozumiesz pan moje nieszczęście?

— Widzę ją nawet przed sobą, jak patrzyła z miłością na pana... jak ścisłałeś jej drobne rączki... jak szeptałeś jej do różowego uszka, że ją kochasz nad życie, że ją ubóstwiasz... a ona...

Pan Józef zrobił ruch ręką, jakby te obrazy odpychał od siebie.

— Lepiej o tém nie mówić!

— A ona kochała pana także... bo miałaś pieniądze.

— Proszę tak nie mówić.

— No, dlaczego nie mówić prawdy? Przecież to nie ubliża ani jej, ani panu. Tak jest i tak być musi. Pieniądze i dla miłości są potrzebne. Miłość—to życie spokojne, to uśmiech zadowolenia. Gdzie troska, bieda i nędza, ztamtąd miłość ucieka.

P. Józef uśmiechnął się z ironią.

— Nie bierz pan za złe kobiecie — mówił dalej p. Joachim—jeżeli oddaliła się od pana, gdyś pieniądze utracił. Nie znaczy to, że przestała cię kochać; boleje ona nad tém, że cię kochać nie powinna i nie może. Okaż jej napowrót malowane papierki a miłość jej wróci i będzie nawet gorętsza od dawniej. Bądźmy ludźmi a nie żądajmy od innych aby się dla nas poświęcali. Równa wkładka daje spółce równe prawa.

P. Józef zamyslił się, ale na to nic nie odpowiedział. Było w tych słowach coś prawdy, chociaż brzmiały one po kupiecku. Nastąpiła długa pauza.

— Gdybyś pan miał owe pieniądze—mówił dalej p. Joachim—które przed operacją posiadałeś... czy byłbyś wtedy szczęśliwym?

— Nie wiem...

— Ale ja wiem, że wszystko wróciłoby do dawnego.

— Przenigdy!

— Ale zawsze lepiej byłoby panu z temi pieniędzmi.

— Nie przeczę... przynajmniej mógłbym się zemścić i zatryumfować nad tymi, którzy mnie teraz odepchnęli.

— Zemsta... tryumf nad nieprzyjaciółmi—to słodka potrawa bogów... Ja także za taką potrawę dałbym wiele, bardzo wiele pieniędzy!

— Czy pan masz nieprzyjaciół?

P. Joachim zrobił ruch ręką, jakby chciał i kłął na wszystkie strony. P. Józef patrzył ciekawie na te gimnastyczne ćwiczenia zacnego patriarchy.

— Mógłbyś mi pan wielką przysługę wyświadczyć—rzekł po chwili p. Joachim—a ja za to oddałbym panu cały złożony u mnie kapitalik, chociaż według prawa przegrałeś go.

P. Józef spojrział z zadziwieniem na wekslarza. Na czole żyda wyprężyły się tętna.

P. Joachim zaczął spokojnie opowiadać o swoim nieszczęściu; mówił o grze giełdowej, o swoich prawach i obowiązkach jako pośrednika tej gry; mówił dalej o katastrofie giełdowej, która miliony pochłonęła, i o nieuzasadnionych pretensjach, jakie do niego mają ci, którzy na giełdzie stracili. Wspomniawszy przytem o różnych obelgach, jakie mu z tego powodu wyrządzono i jakimi mu jeszcze grożą; dodał wreszcie, że chciałby raz skończyć z temi pogroźkami i w tym celu jego zażądał pomocy.

P. Józef ze zdziwieniem spojrział na mówcę.

— Jeżeli kto niezasłużenie honor pana szarpie — odpowiedział z uśmiechem—to wyzwąć go i strzelać się z nim.

P. Joachim pokręcił głową i westchnął.

— Łatwo to panu powiedzieć, który jesteś wolny—i nie prowadzisz interesów pieniężnych. Ja mam najprzód liczną rodzinę, z której każdy umrzeć może, gdy się dowie, że ktoś do mnie jak do malowanego turka strzelać będzie... potem jestem głównym filarem pieniężnego domu, któremu tysiące rodzin powierzyło swoje majątki. Moja śmierć przerywa pasmo wszystkich interesów pieniężnych, a cudze majątki mogłyby zginąć: otóż ten wzgląd na dobro publiczne, każe mi unikać pojedynków — moja osoba jest gwarancją dla tych, którzy mi zaufali.

— Przecież nikt za pana strzelać się nie może? — każdy musi sam swego honoru bronić.

— Rozumiem to. Chciałbym tylko, abym miał opinią odważnego człowieka, który każdemu na wyzwanie stanie.

— Jakimże sposobem możesz pan mieć tę opinią, jeżeli dotąd nie miałeś żadnego pojedynku?

— W tym też celu żądam pomocy od pana.

P. Józef z najwyższym zadziwieniem patrzył na wekslarza; wekslarz milczał czas niejaki, jakby myśli swoje zbierał do ważnej propozycji.

— Żądam od pana takiej przysługi—ozwał się po chwili.

— Słucham.

— Dam panu mój paszport i z nim jako Joachim Rotszyld udasz się do jakich wód odległych w Niemczech; tam bardzo łatwo znajdziesz powód do pojedynku.

P. Józef osłupiał; zmarszczył brwi—usta mu zadrgały...
Wekslarz mówił dalej:

— Prusacy są nieprzyjaciółmi polaków i prześladują ich w Księstwie Poznańskim, jak to ciągle czytam w gazetach. Nie pozwalają im mówić mową ojców swoich, wyśmiewają rządy dawniej Rzeczypospolitej i wyszydząją ich upominania się o sprawiedliwość.

Panu Józefowi poczerwieniały blizny na czole. Ściśniętą pięść podniósł do góry i zamasyście wywinął nią kilka razy w powietrzu.

P. Joachim odwrócił nieco głowę.

— Co pan robisz? — zapytał z widocznym niepokojem.

— Szelmy! łotry! — krzyknął p. Józef, aż jedwabne firanki poruszyły się przy oknach.

— Czy... o prusakach pan mówisz?

— Tak... o nich mówię!

Spokój i zadowolenie wróciły na twarz wekslarza; z dobrą otuchą przysunął się bliżej.

— Mówię panu, że to szelmy i łotry jakich świat nie widział! Obrzydłe plemię krzyżackie! Należała im się już dawno od nas nauczka... gdybyś pan jednego z nich dobrze pokiereszował, lub na wskrós przedziurawił, zrobiłbyś czyn patrio-tyczny.

Pan Józef potrząsł znowu kilka razy ręką w powietrzu, jakby kiereszował owego wroga; na twarzy jego malowała się pewna rozkosz. Obraz, jaki mu wekslarz przed oczy podsunął miał dla niego tyle ponęty, że o postawionych przez tegoż warunkach wcale w tej chwili nie myślał. Wspomniany ucisk braci nad Wartą oburzył go na prześladowców i dokonał reszty — ciał ręką na wszystkie strony.

— Już widzę po tych zręcznych razach — rzekł z uśmiechem wekslarz — że pan mógłbyś poćwiertować nieprzyjaciela jak cielęcę.

— Cóżby panu z tego przyszło?

— Nazajutrz rozniosłyby wszystkie dzienniki po świecie telegram, że pan Joachim Rotszyld, znana firma domu wiedeńskiego, wyzwał na pojedynek i pokiereszował lub zabił pana Falka Maurycego.

P. Józef przypomniał sobie, o co właściwie chodził wekslarzowi. Patrzył na niego z uśmiechem.

— Za to obowiązuję się panu zwrócić kapitałik, przegra-
ny na giełdzie.

P. Józef nie mógł teraz pozbierać myśli swoich; propo-
zycja wekslarza mieściła w sobie złe i dobre rzeczy. Oburzało
go, że miał przyjąć na czas niejaki nazwisko człowieka, który
prawdopodobnie był lichą figurą i w jego skorupie chodzić po
ziemi. Z drugiej strony wyciągała się gwałtem ręka jego na
jakiego prusaka; dotego nadzieja zwrotu sukcesyi dawała mu
rozkoszne obrazy i żywo przypominała altankę w Konopów-
ce... Wszystko to zmieszało się w tak dziwną grę uczuć
i myśli, jak się mieszają barwy i kształty w kalejdoskopie. Po
chwili zmieniła się twarz jego; zmarszczył brwi.

— Nie, to być nie może! — zawołał.

— Dlaczego? — zapytał wekslarz.

— To byłoby hańbą dla mnie!

— Hańbą? dlaczego hańbą?... Byłby to figiel, żarcik ze
strony pana, jak to często widzimy w komedyi! Ożyż to hańbi?

— Ale za pieniądze!

— To są pieniądze pana a nie moje. Zwracam je panu...
pod tym i pod tym warunkiem...

— To być nie może!

— Jeżeli tak... to wyrzeknij się pan szczęścia swego na
zawsze! Świat panu urągać będzie—ona zapomni o człowieku,
który dla jój szczęścia nic zrobić nie chciał... a może też zacho-
ruje i umrze! Ziemi przybędzie jedna mogiłka więcej...

— Nie mów pan dalej!—krzyknął p. Józef.

Czoło jego poczerwieniało jak spiż rozpalony, oczy zata-
czały się błędnie.

— Nic nie mówię — odparł wekslarz — a czekam na od-
powiedź.

P. Józef gryzł wargi do krwi.

— Daj pan swój paszport! — wykrztusił po chwili.

Wekslarz podał mu małą książeczkę.

— A cóżby się stało — zapytał p. Józef — gdybym ja
w pojedynku zginął?

Wekslarz zmarszczył czoło i zamyślił się.

— I to być może... ale gra jest grą. Wierzę, że obaj
wygramy.

— A co pan tymczasem z sobą zrobisz?

— Schowam się w jaki odległy zakątek ziemi.

— Pod jakim nazwiskiem?

— Pod nazwiskiem... pana. Spróbuję choć na chwilę być szlachcicem herbowym.

Pan Józef rozśmiał się na całe gardło śmiechem wariata...

XV.

Był to właśnie dzień targowy. Pan Jędrzej wrócił z miasta. Służący Wojtek przybiegł do wózka, aby oczekiwane sprawunki wnieść do sieni. Zadziwił się wielce, że w wózku żadnych rzeczy nie było; był tylko sam p. Jędrzej i takim wzrokiem spojrzął na Wojtka, że tenże uznał za stosowne cofnąć się czempredzój poza tylne koła. Pan Jędrzej wyskoczył z niezwykłą energią z bryczki.

— A gdzie sprawunki? — zapytała pani Jędrzejowa, która stała właśnie przy szybie historycznej.

P. Jędrzej nie przywitał się wcale z małżonką. Był czerwony jak burak, oczy miał krwią nabiegłe.

— Żeby to człowiek choć raz w życiu nie miał sprawunków, gdy jedzie do miasta—odfuknął z gniewem—a to nadadzą tego bez liku, aż się w głowie kręci. Całe życie chodzi człowiek jak muł objuczony.

Pani Jędrzejowa spojrzała na męża.

— Cóż tam znowu?

— Czy nie dość tego, co jest? szpital w domu, płacze człowiek po kątach, a tu jeszcze ludzie cierkają za plecyma, że jest gorszy od dyabła!... Wszystkiemu temu winien proboszcz.

— Cóż ci znów proboszcz zrobił?

— Daj pokój kochanie—ty zawsze za nim obstajesz, a ja ci powiadam, że on często jakby naumyślnie za sadło mi naleje. Ot niedawno, gdyśmy grali w preferansa...

— Pomylił się starowina.

— Albo wtedy, gdy przyszedł jak przyjaciel do Hioba...

— Przecież wyraźnie ostrzegał nas przed Pałacyskami.

— W dwóch słowach mógłby być to samo powiedzieć...

A jakże kochanie to wytłumaczysz, że odebrawszy gazety z tłu-

stym telegramem, zamknął je na klucz a sam pojechał do chorego; gdy zaś wrócił, położył się spać z gazetą pod poduszką.

— Pocóżes te gazety na drugi dzień rzucił do kosza?

— To co innego. W takiej chwili rzuciłbym samego dyabła do kosza, gdyby mi się był nawinał. Przypomnij sobie, co to była za chwila: marzenia nasze stracone, Helunia chora, a my w rozpacz. Aniołowi pomieszałyby się kleпки w głowie! Pani Jędrzejowa westchnęła.

— Cośmy wycierpieli — prawil dalej p. Jędrzej — Bogu tylko wiadomo—wstyd, hańba i obmowa ludzka! Pierwój nam zazdroszczono, a potem z ostentacją litowano się nad nami; teraz zrzuciono obłudną maskę litości i zasypano nas potwarzą. Powiadają, że Helunia oddała panu Józefowi pierścioneł, gdy się dowiedziała, że kapitalik swój utopił... Szewcka pasya bierze człowieka na takie gadanie!

— Tak to rzeczywiście wygląda.

— I ty jeszcze tak mówisz?

— Nie można ludziom brać za złe, że tak im się wydaje. Gdy pan Józef po raz ostatni był u nas, wszyscy już wiedzieli, że stracił cały kapitalik. Powiedziales nam, że sam będziesz z nim rozmawiał... a rozmawiales tak, że on był pewny, iż tu chodzi tylko o pieniądze.

— Pocóżescie uwiły sobie jakieś plotki o Pałacyzkach?

— I to było prawdziwe.

— U was wszystko prawdziwe! Gdy mężczyzna zerknie na kobietę i do niój kilka słów przemówi, już zaraz romans u was! P. Józefowi ani się śniło... pojechał do Pałacyzsk w sprawie wyborów, a wy zrobiłyście z tego zaraz bigos hultajski! I jakże to żyć człowiekowi na świecie!

— Sam zawiniłes a na drugich zwalasz. Pocóż było z p. Józefem gadać pod jakimiś figurami, dłączegóż mu prosto nie powiedziales, o co się rozchodzi?

— Dyabeł wiedział, z czém on przyjechał.

Nastąpiło długie milczenie. Pani Jędrzejowa patrzyła zamyślona przez okno, a pan Jędrzej chodził po pokoju w czapce płóciennój, którój jeszcze nie zdjął z głowy.

— Co najgorsza, że rzucają na nas czarną potwarz. Powiadają, żeśmy handlowali córką, żeśmy p. Józefa złapali dla pieniędzy, a potem go wyrzucili, gdy pieniądze dyabli wzięli. I jakże teraz patrzeć ludziom w oczy!

— Ciekawa jestem, cobyś zrobił, gdybyś był wiedział o ruinie pana Józefa?

— To rzecz inna. Pieniądzy nie trzeba lekceważyć; miłość bez pieniędzy nie wiele warta. Wtedy inaczejby się mówiło; powiedziałoby się, że nie rozchodzi się tu o pieniądze ale o historią w Pałaczkach. Rzecz stałaby jasno, a Helunia nie kładłaby się do łóżka.

— Teraz najbardziej ona na tém cierpi. Wszystko przemawia za tém, że dla pieniędzy z panem Józefem zerwała; najbardziej boli ją, że sam pan Józef tak myśli, a z czém się nawet nie tał. Jest niepoczieszona i obawiam się o jój życie!

Pan Jędrzej chwycił żonę za rękę.

— Co pleciesz, kochanie? Helunia chciałaby umrzeć i nas samych na świecie zostawić?

Łzy puściły się z oczu p. Jędrzeja.

— Ona go kocha! — szepnęła z westchnieniem pani Jędrzejowa.

— Kocha go... nawet bez sukcesyi?

— Jeszcze więcej niż pierwój.

— Dziwne kobiety!... Pocziwie, zacne... ale zawsze głupieńkie jak gąski!

Pan Jędrzej zaśmiał się, ale łzy nie przestały mu kapać z oczu.

— Ona kocha go—mówił dalej wśród łez i śmiechu—pocziwa Helunia! Kocha go bez jego sukcesyi, z trzema ciotkami, dwójgiem sierot, nie licząc w to matki, siostry i pana majora! Wszystkich kocha i chce ich karmić jak pelikan...

Pani Jędrzejowa z uwagą patrzyła na męża.

— Będzie chodzić koło nich jak służebnica... będzie sama stać przy kuchni i jeść gotować... dla trzech ciotek będzie gotowała zupę chlebową, dla majora barszczyk z uszkami. Pocziwa Helunia! Złote dziecię!

Pan Jędrzej podczas téj dziwnej walki z samym sobą, biegł w kółko po pokoju. Nagle zatrzymał się przed żoną.

— I cóż ty na to? Czy i ty kochasz pana Józefa?

— Przedewszystkiém kocham córkę!

— O wiem ja, wiem... wy wszyscy go kochacie! Klara, Marysia, Wojtek, Michałek, wszyscy go kochają! Michałek w drodze nie dał mi pokoju, tylko pytał o niego... Klara płakała przed Wawrzyńcem za nim... a Wojtek zgłupiał do reszty, gdy się dowiedział, że wszystko zerwane.

Pan Jędrzej zaczął znowu biegać po pokoju.

— Wszyscy go teraz kochają — mówił dalej — całe sąsiedztwo widzi w nim nieszczęśliwego bohatera. Pan Marcin,

pani Marcinowa, państwo Witoldowie, Kazimierzowie, Karolowie, wszyscy wynoszą go teraz pod niebiosa; nawet pani Eufrozyna nazywa go brylantem powiatu, płacze nad jego nieszczęściem, a nam nie szczędzi słówek żółcią i octem zaprawionych... A czy ty wiesz, dlaczego wszyscy teraz tak go kochają?

— Nieszczęście otwiera serca.

— Kochają go dlatego, żeśmy w jego nieszczęściu nasze serca zamknęli przed nim... że mu Helunia pierścionek oddała.

Pani Jędrzejowa westchnęła; pan Jędrzej chwycił ją silnie za rękę.

— Czy ty wiesz — rzekł do niej głosem ochryplym — że i ja teraz kocham go i przepadam za nim?... Czemu tak dziwnie patrzysz na mnie? Czy nie wierzysz? Patrz jak mi serce bije!

I rękę małżonki przycisnął do szarej kapoty.

— Przecież nie będę wyrzutkiem w całym powiecie! Gdy wszyscy, a nawet nieprzyjaciele kochają go i płaczą nad nim, mamże ja jeden stanąć wśród nich i zawołać: oto i ja go kochałem i chciałem mu dać jedyne dziecko moje, gdy miał sukcesyjkę w kabzie; dzisiaj, gdy pieniądze dyabli wzięli, posłałem go także do dyabła a córka moja rzuciła za nim pierścionek!

— Mężu, ty mówisz jak w gorączce!

— Jakże nie dostać gorączki, gdy sąsiedzi ciskają w oczy człowiekowi, że jest podły, że Helunia podle sobie postąpiła!... Gdybyś słyszała co mi major w mieście nagadał... gdybyś wiedziała, jak pan Marcin, Bronisław i Karol z ukosa mnie mierzyli... jak pan Achil słodziutko o wasze zdrowie pytał... jak nawet faktor Mechel cmokał, gdy ktoś o p. Józefie wspomniał... gdybyś to wszystko widziała i słyszała pewniebyś nie kupowała kaszy, krochmalu, cukru i szafranu, jak ja tych specyałów także nie kupilem.

Pani Jędrzejowa westchnęła.

— Cóż słyhać o p. Józefie?—zapytała po chwili.

— Pojechał jak waryat do swego bankiera. Mówią, że zostawił testament w domu.

Pani Jędrzejowa załamała rękę.

— To byłoby okropnie!

— A co? teraz na ciebie kolój dostać gorączki!

Z cicha otworzyły się drzwi, do pokoju weszła Helena. Miała ciemny szlafroczek, przy którym wydawała się jeszcze

bledszą; omglone oczy patrzyły smutno. Szła chwiejnym krokiem; na widok ojca uśmiechnęła się melancholijnie.

— Dlaczegoś wstała z łóżka? — zapytała matka niespokojnie.

— Słyszałam, jak ojciec przyjechał... niepokoiło mię, że do mnie nie przyszedł. Czy jest jaka nowina?

— Jest nowina — odpowiedział p. Jędrzej przyciskając Helunię do piersi — i to nowina nie lada.

Pan Jędrzej milczał chwilę, jakby powietrza nabierał do szerokiej piersi.

— Jest nowina — zawołał — że jutro ze świtem, pojedę do Wiednia.

Słowa te sprawiły na wszystkich niezwykle wrażenie, nie wyjmując nawet pana Jędrzeja; równocześnie wyprostował się jak człowiek, który po długiej walce z sobą przyjął rolę bohatera.

Helunia zarumieniła się jak jutrzienka a potem zbladła i omglone oczy zwróciła na matkę.

W oczach matki wyczytała coś, co na jej blade usta przywołało uśmiech niewysłowionój słodyczy.

Za kilka chwil zmieniła się we dworze cała atmosfera. Klucznica Klara wesoło brząkała kluczami; Marysia nucila jakąś piosenkę zbierając kwiatki dla panny, Michałek z ferworem czyścił konie, które jutro o świcie miały iść w drogę a Wojtek smarował sadłem stary, skórzany tłumok, pogwizdując przytem węgierskiego czardasza.

Nad wieczorem przywiózł pachciarz zapomniane sprawunki.

XVI.

W rozkosznej przystani północnego morza roily się tłumy gości kąpielowych. Pora sprzyjała bogatym turystom; używali słońca i wody morskiej do woli, słuchali koncertów, jedli i pili i przechadzali się tłumnie w rozkosznych parkach lub nad brzegami morza. Wszędzie widać dostatki i dobry humor, życie ich nieustającą zabawą; nędza i bieda pochowała swoje łachmany, widma przewrotów społecznych utonęły w morskiej fali. Wielkie kwestye polityczne i drobne wypadki samobójstw usunęły się w głąb a miejsce ich zastąpił uśmiech zadowolenia z dnia dzisiejszego.

A dni te były jasne i pogodne. Kąpiel morska wypadła dobrze, towarzystwo było zabawne, przejażdżka na morzu udała się a obiadek pod „Złotą koroną” zachwycił wszystkich; po obiadku czarna kawa z koncertem, po kawie wycieczka pod niebo w „balon captive”, a za powrotem na ziemię znowu koncert, widowisko i herbata lub kolacja z piwem.

Dla jednych było takie życie kuracją, a dla wszystkich zabawą; trudno było rozróżnić jednych od drugich.

W jednym z pierwszych hoteli ulokował się bogaty wieźdeńczyk, który na liście gości zapisał się: *Joachim Rotszyld, bankier*. Służba kłaniała się nisko; pobudką do tego była najprzód niezwykła szorstkość bogatego lokatora, a potem hojne datki za najmniejszą usługę. Był to prawdziwy bankier od stóp do głowy, wymyślał na wszystkich i wszystko, używał czasem słów nieparlamentarnych ale hojnie za nie płacił.

Bankierem tym był — pan Józef Ostoja.

Po kilku konferencyach przy biurku z napisem: *Geld für Alles*, zgodził się na propozycyą p. Joachima.

P. Joachim chwycił go za słabą stronę i oszołomił zupełnie; pokazał mu w perspektywie brzydką bestyę, którą od dawna p. Józef miał na wątróbce. W Berlinie toczyły się właśnie rozprawy nad wyłączeniem mieszkańców W. Ks. Poznańskiego z pod praw ogólnych państwa: mieli oni pozostać paryą niemiecką, indyaninami nowożytnéj Ameryki, odbierano im język i religią, przeciw ich pracy i oszczędności walczone kapitałem niemieckim.

Nowożytnie to wytepianie narodu oburzało i pana Józefa; czytając o tém w dziennikach zaciskał pięść i gniewał się, że w ziemi podkarpackiej nie ma blisko jakiego prusaka, którego by za całe jego plemię mógł szablą uczciwie pokiereszować. Pewnej jesieni zjawilo się wprawdzie w sąsiedztwie kilku prusaków, którzy las zakupili, ale ci wkrótce na téj spekulacji zbankrutowali, a pan Józef musiał jeszcze dać im jałmużnę, aby to „biedne paskudztwo” z gór się wyniosło.

Propozycya p. Joachima wznowiła w panu Józefie dawną żądzę; mógł on teraz wynaleźć sobie najsmaczniejszego prusaka we własnym jego kraju i z nim rozprawić się za krzywdy wyrządzone braciom nad Wartą i Notecią. Do téj propozycji łączyła się nadzieja zwrotu sukcesyi, którą nierozważnie na hazard gry giełdowej postawił; do sukcesyi wiązały się znowu inne widoki, które większą były rozkoszą dla niego nawet od pojedynku z prusakiem. Mógłby tryumfować nad nieprzyjaciółmi swymi a Heluni mógłby okazać... ale nie wiedział napewno czy zemstę swoją, czy—dawny swój pierścionek. Sprawa ta nie była jeszcze jasną dla niego; nie mógł jeszcze powiedzieć czy ją nienawidzi, czy kocha więcej niż dawniej. Zresztą na takie medytacye nie miał teraz czasu, zostawił je na później.

Zgodził się także, że na czas w którym będzie odegrywał rolę wiedeńskiego wekslarza, pozwolił temuż używać swego nazwiska i herbu.

Warunek ten był dla p. Józefa najboleśniejszy; miał on podejrzanemu człowiekowi pożyczyć swego herbu nie wiedząc, co z tym herbem zrobi. Po długim namyśle przystał na wszystko, z warunkiem: aby pan bankier wyjechał pod jego nazwiskiem do jakiegoś cichego, odludnego ustronia, aby przez ten czas żadnych pieniężnych operacyj nie robił, żadnej szacherki nie popełnił, a broń Boże czego nie ukradł. Żądał dalej od niego, aby się strzegł przedewszystkiém obelgi honoru, dawał biednym jałmużnę i wypełniał inne obowiązki poczciwego człowieka.

Zawarowawszy sobie to wszystko i przyrzekłszy, że ze swój strony także bankierskich interesów robić nie będzie, pawsował wekslarza na czasowego szlachcica i w dobrej komitywie z nim się rozstał.

Morska przystań kąpielowa, do której teraz przybył, bardzo mu się podobała, mimo że był ciągle w oszołomieniu. Nowe widoki, nowi ludzie i nowe życie, wszystko to przypało bardzo do smaku mieszkańcowi karpackiego podgórze.

Pierwsze dni upływały na własnych przyjemnościach, poczem zaczął się rozglądać w nowym swoim położeniu.

W nadmorskiej osadzie zastał wielu anglików, francuzów i niemców. Usłyszał także tu i owdzie mowę ojczystą, ale od rodaków swoich zdaleka uciekał. Sprawiało mu to wprawdzie wielką boleść—ale wzgląd na dane słowo i prawomocny zastaw swego herbu zwyciężał pokusę.

Tak upłyęło dni kilka. P. Józef był w nieustającej gorączce. Mniemany bankier chodził po parku, słuchał koncertów, jadał obiady po hotelach i pijał czarną kawę dziesięć razy na dzień, szukając nieprzyjaciela. Najmilszą knieją dla niego były piwiarnie, w których opaśli konsumenci zakrapiali się piwem bawarskim; tam spodziewał się wytropić zwierza, o którego mu chodziło. Nadsluchywał pilnie, czy kto o polakach nie rzuci złego słowa, nie ubliży narodowi. Próbował nawet kilka razy zaczepki, chciał niemca wciągnąć do rozmowy politycznej ale jakoś mu się nie udawało. Żaden prusak nie chciał się zapuszczać w rzeczy polityczne, ze względu na dobrze zrozumiany interes osady kąpielowej, która w tej chwili była międzynarodową.

Za to spotykały go inne niespodzianki. Chociaż wyraźnie zakazał służbie, aby do niego żadnych tak zwanych interesantów nie dopuszczała, zdarzało się jednak, że ten i ów obcy do niego się zbliżył.

Pewnego poranku wszedł do niego jakiś jegomość gładko wygolony, z grzbietem bardzo ruchliwym.

— Mam ważny interes do pana — rzekł zaraz na progu.

— Żadnych interesów nie słucham—odparł szorstko fałszywy bankier. Jestem tutaj dla poratowania zdrowia.

— Zapożwoleniem... milionik to najlepsze lekarstwo dla sił nadwątlnych. Wiem, żeś w Wiedniu poniósł małe straty.

— Czy pan mię znasz?

— Któżby nie znał tak zacnej firmy?

Mniemany wekslarz pomyślał chwilę. Przyobiecwał panu Joachimowi, że żadnych interesów bankierskich robić nie będzie, ale zdjęła go ciekawość, jakim to sposobem można przyjść do milionika. Siadł wygodnie w fotelu, jakby chciał słuchać propozycji.

— Jestem dziennikarzem — zaczął gość z uśmiechem — i wiem z dobrego źródła, że w zarządzie kolei, która nasze miasto łączy z główną arterią kolejową, dzieją się małe nieporządki. W skutek głuchych wieści o tém, zaczynają spadać akcje i pryoritety tój kolei...

— Cóż mi do tego? — zapytał obojętnie fałszywy bankier.

— Papiery tój kolei w skutek wysokiej dywidendy są w ręku tutejszych mieszkańców. Ponieważ dywidenda ta nie była wypłacona z zysków, ale z kapitału zakładowego, aby kurs papierów wyżej podnieść, więc wiadomość o tém ogłoszona przez dzienniki wywoła panikę i papiery spadną do połowy wartości w pierwszych dniach popłochu. Wiem dalej o tém, że pewni ludzie, którzy na miejsce dawnego zarządu do steru przyjdą, mają nadzieję i środki przywrócenia równowagi w bilansie kolejowym. Po krótkim więc czasie przyjdą znów papiery do dawniej wartości, bo kolej rzeczywiście rentuje się dobrze.

— Jakiż miałbym w tém interes?

— Jako dziennikarz uderzyłbym na gwałt w imię dobra publicznego, namalowałbym dyabła czarno, pauzami i kropkami dałbym do zrozumienia, że wielkie bankructwo wisi w powietrzu... reszty dokonałyby moje korespondencye i telegramy do innych dzienników.

— Jeszcze nie widzę mojej roli.

— Gdy będzie panika w najwyższym stopniu, gdy papiery spadną do połowy wartości... dom Joachim Rotszyld zakupi je przez swoich agentów.

Fałszywy bankier poczuł kurcz w prawej ręce.

— A potem?

— Potem... zatrąbię do odwrotu, wyjaśnię sytuacją i uspokoję publiczność: że grożąca burza szczęśliwie przeminęła. Papiery wprawdzie nie dojdą do pierwotnej wysokości, ale zawsze milionik można zarobić.

— A któż na tém straci?

— *Das Füllsterthum* — dzisiejsi właściciele papierów, którzy się zlakomili na wysokie procenta. W bankierskich skrzyniach niema tych papierów!

Wyprężyła się teraz żylasta ręka mniemanego bankiera; chciał jakiś morał o złodziejstwie i szachrajstwie wypowiedzieć zacnemu dziennikarzowi, ale przypomniał sobie o daném słowie, że o interesach bankierskich mówić nie będzie.

— Przepraszam pana—rzekł do gościa—tutaj jestem dla zdrowia i interesów żadnych nie robię.

Więcej porywczą od słów okazała się ręka pana Józefa: chwyciła gościa za kołnierz i jednym zamachem wyrzuciła go za drzwi.

Za drzwiami odgrażał się dziennikarz, mówił o policyi i czernidle gazeciarskiem—ale mniemany bankier już tego nie słyszał.

Stał on w téj chwili przed dużém zwierciadłem i patrzył ze smutkiem na swój konterfekt, który się na szkle odbijał. Zdawało mu się, że zbrzydł i postarzał się.

— Héj, héj Józefie — rzekł do swéj podobizny — co się z tobą dzieje! Zastawiłeś swój herb u Geldhaba, a dzisiaj w jego skórce chodzisz po Bożym świecie i uczysz się podłych sztuczek robienia milionów! Czy się sam przed sobą nie wstydzisz.... nie dziwisz się téj swojej odwadze, żeś tego nikkzemnika za drzwi wyrzucił? Jeżeli to dłużej potrwa, to stracisz i tę resztę woli i pozwolisz pluć na siebie!.. Dziwny wpływ cudzego nazwiska i munduru nie swojego znaku.

Od tego dnia znacznie posmutniał. Nie patrzył nawet na swój konterfekt w zwierciadle; obawiał się, że zamiast siebie obaczy jakąś poczware. W teatrze widział nieraz aktora, którego rola tak zmieniła, że dawnego człowieka w nim nie poznał: miałożby to się stać z nim?

Zdarzenia jak z dziennikarzem powtarzały się teraz częściej; jakieś brzydkie, koślawe figury zbliżały się do niego, jakby jemu pokrewne, zwierzały mu się i odkrywały plugawe zamiary. Dwóch jeszcze z nich wyrzucił za drzwi, ale później opuściła go energia; nie miał już siły ani odwagi, tak dziwnie wpływało obrzydzenie do siebie i do roli przyjętej; co gorsza, dawna odwaga jego i butność zaczęły go odstępować. Ludziom schodził ostrożnie z drogi, na zapytania odpowiadał pokornie, liczniejszych zgromadzeń unikał; obawiał się wyraźnie, aby mu jakiej obelgi nie wyrządzono, bo do tego każdy miał prawo.

Przy tak dziwnéj metamorfozie, trudno mu nawet było dopiąć celu w jakim przyjechał. Dawniej szukał zaczepki z jakim opasłym prusakiem i złościł się, gdy mu prusak z dro-

gi ustępował; dzisiaj zaczepiał go ten i ów, a pan Józef chyłkiem wynosił się z piwiarni. Razu jednego słyszał wyraźnie, jak na braci z nad Warty wygadywano; jeden z bohaterów powiedział nawet, że to plemię niepoprawne trzeba jak dzikich indyan w lasy wyprzeć a pan Józef udał, że nie słyszy i milczkiem wstał od stołu.

Nie mógł teraz siebie poznać ani zrozumieć; tłumaczył to niedyspozycją, brał za skutek niezdrowych pokarmów, wypił nawet kilka filiżanek jakiegoś dekoktu aptecznego—ale nic nie pomogło; obce nazwisko ciążyło na nim jak czarna, zardzewiała zbroja. Nie mógł się ani ruszać, ani oddychać swobodnie jak dawniej, a w nocy kładła się na nim jakaś z mora, zabierała mu ciepło serca i zamrażała go w bryłę lodową.

Odkładał z dnia na dzień wykonanie zamiaru swego, czekał zmiany powietrza i lunacyi, ale wszystko nadarmo.

Razu jednego miał się odbyć koncert nadzwyczajny. Wzmocniona orkiestra ustawiła się przed kurhausem a wszystkie chodniki i tarasy napełniły się słuchaczami; mieszkańcy i turyści wystąpili w strojach odświętnych; powietrze było ciepłe i pogodne, lekki wietrzyk powiewał od morza; na niebie nie było ani jednej chmurki.

Na głównym tarasie, z którego można było widzieć całe zgromadzenie, zajął miejsce mniemany bankier; posługacz przygotował mu tutaj najlepsze krzesło, bo bankier najlepiej płacił. Koło niego siedzieli jacyś dygnitarze, z dekoracyami w dziurkach od surduta. Po drugiej stronie rozparły się strojne damy z wachlarzami w rękach; niejedna z nich zerkała z ukosa na szczęśliwego milionera, który wyjątkowo był bardzo przystojny i miał twarz intelligentną; nie posiadał nawet zakrzywionych krogulczych palców, jak to widzieć można u tych, którzy codziennie pieniądze liczą.

Pan Józef spostrzegł to; osobliwie jedna o białych włosach blondynka przypomniała mu złote sny jego o Pałaczkach. Dla rozerwania smutnych myśli podkrecał węża i rzucał na nią wzajemne spojrzenia. Orkiestra zagrała właśnie coś hałaśliwego, co jeszcze więcej pobudzało nieznajomą i mniemanego milionera do spojrzeń wymownych.

Była to może jedna z najprzyjemniejszych dzisiejszych chwil pana Józefa; podrażniało to jego próżność i sprawiało mu jak opium jakieś senne oszołomienie. Nie brał tego na seryo, ale uważał za jedną z rozrywek próżniących.

Błada blondynka zaczęła właśnie bawić się wachlarzem składała go i rozkładała w jakiś sposób niezwykły; przytem duże oczy wznosiła ku niebu, potem kierowała je na wydatny profil milionera, a nareszcie patrzyła na końce swoich chińskich pantofelków.

Pan Józef słyszał o tém, że hiszpanki umieją doskonale rozmawiać się wachlarzem; myślał właśnie nad tém, jakie znaczenie mogą mieć te ruchy pierzastego wachlarza i co na to mógłby innemi znakami odpowiedzieć — gdy nagle jakiś głos chropowaty zbudził go do rzeczywistości.

— Czy pan jesteś Joachim Rotszyld, wekslarz z Wiednia?

Orkiestra właśnie grać przestała. Zapytanie to słyszeli wszyscy sąsiedzi i ciekawie zwrócili oczy na milionera. P. Józef doznał dziwnego uczucia; wymówione głośno nazwisko przygniotło go nagle jak ołowiem. Człowiek, który to nazwisko wymówił, zdradzał jakieś zamiary energiczne; wprawdzie nie imponował ani wzrostem ani budową, ale miał twarz zaczerwienioną i czoło zmarszczone; w rękę trzymał grubą, hiszpańską trzcinę z rękojeścią słoniową i patrzył na milionera wyzywająco.

— Czy pan jesteś ten, o którego pytam? — powtórzył po chwili.

— Noszę takie nazwisko—odpowiedział machinalnie zaniepokojony pan Józef— ale nie jestem... wekslarzem.

Ta wymijająca odpowiedź nie pomogła mu.

— Pan jesteś właścicielem firmy tego nazwiska przy ulicy ...?

— Tak jest.

— To pozwól sobie powiedzieć, żeś jest złodziejem i szachrajem, żeś skradł mi całe mienie moje, ciężko zapracowane!

Pan Józef chciał w pierwszym impecie udusić zuchwałego napastnika, ale żyłasta ręka zawisła w powietrzu i odmówiła posłuszeństwa.

Nie była to już jego wypróbowana prawica ale tchórzliwa ręka wekslarza.

— Złodziejem! oszustem jesteś! — krzyczał nieznajomy, podnosząc hiszpańską trzcinę coraz wyżej—oto twoje *Antheilscheiny*, rzucam ci w twarz!

Po powietrzu rozbiegły się podłużne, pięknie litografowane papierki, które dawniej złote góry obiecywały a teraz były bez wartości.

Pan Józef czuł na twarzy niemile dotknięcia tych papierków, ale był w téj chwili bez woli; zdawało mu się, że ma ręce

związane, że jakieś potwory jak węże Laokoona oplotły go wkoło.

— Czy nie wstydzisz się teraz—krzyczał dalej nieznajomy—nie masz odwagi zasłonić się przed obelgą? Ty żydzie!

— Jestem tutaj dla zdrowia i nie załatwiam interesów bankierskich — odpowiedział machinalnie p. Józef.

— To przynajmniej taki interes załatwisz oszuście! — wrzasnął nieznajomy i grubą hiszpańską trzcinę podniósł do góry...

Pan Józef ugiął się ale nie wyciągnął ręki na nieznajomego; zdawało mu się, że to nie jego sprawa, że to sprawa człowieka, który na taką obelgę zasłużył. Pociemniało mu w oczach, w uszach zaszumiało... i wyobraził sobie, że jest na deskach teatralnych w roli zbrodniarza, który zasłużoną odbiera karę. Gwar i krzyk, który teraz powstał w całym zgromadzeniu, wzięł za oklaski spektatorów dla zręcznego aktora; chciał się nawet publiczności za te oklaski ukłonić, gdy nagle usłyszał śmiech przenikliwy, śmiech kobiecy, który dźwięczał rozkosznie, jak srebrny dzwonek. Podniósł oczy na śmiejącą się kobietę—i ujrzał bladą blondynkę z pierzastym wachlarzem.

Zabolała go dawna blizna na czole a w oczach znowu mu pociemniało; poczuł jakąś ciepłą rękę przyjaciela... oparł się z zaufaniem o tę rękę... i zaczął z nim iść nie wiedząc gdzie...

Był to policyant; zasłonił go przed napastnikiem i zaprowadził do hotelu.

W hotelu odzyskał przytomność i przypomniał sobie co zaszło... ale o pojedynku, o wyszukaniu napastnika weale nie myślał. Dziwny strach opanował go, lękał się figur malowanych na papierowém obiciu...

Kazał sobie podać rachunek i pierwszym pociągiem wyjechał z miasta.

Najszcześniejszym z mieszkańców miasta był dziennikarz: miał on teraz szerokie pole do zemsty za doznaną niegrzeczność milionera.

W wieczorném wydaniu swojej gazety umieścił tłustym drukiem, że osławiony wekslarz wiedeński Joachim Rotszyld został na publicznym koncercie nazwany złodziejem i oszustem i czynnie zelżony... i że zamiast jakiegokolwiek pretensyi za obelgi, milczkiem opuścił miasto.

Takie same telegramy rozesłał, własnym kosztem, do wszystkich niemieckich dzienników.

XVII.

Nie tak głośnie, ale nie mniej urocze było ustronie w którym właśnie przebywał prawdziwy pan Joachim: był to romantyczny zakątek w górach Styryjskich. Nie było wiele gości, bo sama miejscowość nie mogła ich wiele pomieścić; nie było głośnych zabaw, nie było koncertów ani widowisk, tylko czyste powietrze i urocze widoki na lasy i skały.

Pan Joachim wybrał sobie to ustronie, przekonawszy się pierwój, że nikt go tutaj nie zna. Zamieszkał w pięknej willi nad brzegami górskiego strumyka; na liście gości zapisano go nazwiskiem pana Józefa z dodatkiem herbu, a niewysłowioną było rozkoszą dla niego, gdy zaraz pierwszego dnia zaczęto go nazywać hrabią, *Herr Graf*.

Zbliżenie się do natury, świeże powietrze, które inaczój smakowało od zaduchu w norze wekslarskiej, piękne widoki, szum wody i harmonijny świst drzew szpilkowych, wszystko to sprawiało na nim jakieś dziwne, nieznane mu dotąd wrażenie. Wekslarzowi zdawało się, że się powoli odradzał, że jakoś innym stawał się człowiekiem.

Od dzieciństwa swego widział tylko kasy żelazne, stoliki marmurowe do liczenia pieniędzy i grube księgi rachunkowe; widział przed sobą ludzi, których najczęściej oszukiwał. Nie był to widok przyjemny a przecież każdy człowiek pragnie jakjéjsz przyjemności i stwarza sobie jakiś ideał; pan Joachim miał także taki ideał—pieniądze. One jedynie uprzyjemniały mu życie, o nich marzył dniem i nocą i rozkoszował się tém marzeniem; nieraz gdy spać nie mógł w nocy, wstawał z łóżka i otwierał skrzynię żelazną, aby się napoić widokiem pieniędzy. Przeliczał je i gatunkował, mnożył i dzielił, dodawał procenta

i procenta od procentów póty, póki się słabe ciało nie znużyło; wtedy kładł się do łóżka, zasypiał słodko i marzył we śnie o tém, co robił na jawie. Tak schodziły mu długie lata.

Inne rozrywki życia uważał tylko za obowiązki bogatego człowieka. *Noblesse oblige* powtarzał często, jak to gdzieś zasłyszał; chodził do teatru i rozpierał się w łoży, bo to znaczyło, że ma pieniądze; uczęszczał na koncerta, bo tam widział ludzi wyższego stanowiska, do których także sam siebie zaliczał. W teatrze jednak ziewał, bo rzeczy na scenie przedstawiane wydawały mu się głupstwem; muzykę nazywał kosztownym hałasem i kontent był gdy się skończyła. Od sztuki wracał czém prędzej do pieniędzy.

Dzisiaj odbywała się w nim jakaś przemiana. Patrzył godzinami na piękną dolinę zamkniętą sinemi górami i czuł przytem wielką przyjemność; słuchał szumu górskiego potoku i czuł jakąś rozkosz tajemniczą; nawet harfiarkom wędrownym pozwolił grać przed swemi drzwiami i hojnie je wynagradzał.

Nie potrzebując rachować pieniędzy i z ludźmi się kłócić, miał czas do swobodnych marzeń, i dziwna rzecz—nie myślał teraz wcale o cyfrach. Najprzód marzył o małym, cichym domku w pięknej okolicy nad brzegiem potoku, z widokiem na góry lub morze. Codziennie patrzyłby z tarasu na te piękne rzeczy, używałby przykładowie darów Bożych, a nawet wspierał ubogich. Wszyscy ludzie poważaliby go i nisko się kłaniali; ludzie wyższego stanowiska podawałiby mu rękę, a on wzajemnie zapraszałby ich na smaczne obiady i dawałby im drogie cygara do palenia. Dla swoich dzieci mógłby nawet z czasem wyrobić tytuł barona, coby je wysoko zaprowadziło; wtedy syn jego najmłodszy Emeryk baron von Joachimthal, mógłby nawet zostać ministrem finansów, pracować dla ojczyzny i przytém... kilka milionów zarobić.

Takie były dzisiaj marzenia pana Joachima. Były one w gruncie pocziwe, a jeżeli czasem coś się do nich przylepiło, to przecież nie można za to zacnego marzyciela potępiać; gdy człowiek całe życie brnął po kałużach, to zawsze mu na butach coś błota zostanie. Trudno odrazu z błota się oczyścić.

Pan Joachim czuł wyraźnie to odrodzenie się swoje, ale powodów szukał gdzieindziej; zdawało mu się, że cała ta przemiana pochodzi z dzisiejszego jego nazwiska. Czarodziejskie słowo *Herr Graf*, jakim go teraz wszędzie raczono, wpadało mu rozkosznie aż do szpiku; sypał za to hojnie pieniądze i wstydział się pomyśleć o czémś nieuczciwém.

— Nie sztuka to arystokratom być na wierzchu społeczeństwa, mawiał nieraz do siebie, gdy na jaki cel dobroczynny dał parę guldenów; człowiek czy chce czy nie chce musi coś dobrego robić. Wprawdzie dobre i szlachetne uczynki jak każdy kapitał przynoszą czasem sowite procenta: książę, hrabia lub baron może zostać generałem, ministrem lub ambasadorem... a to przynosi znaczny, bardzo znaczny dochód... A głupi ludzie krzyczą na zwykłych śmiertelników, którzy bez tytułów muszą grosz do grosza zbierać; powiadają, że chodzą krzywymi drogami, że nie liczą się z sumieniem! Może to prawda, ale dajcie im tytuły i herby... to nie będą gonić za groszem, tylko za—millionem!

Takięj filozofii społecznej poświęcał się teraz pan Joachim. Bądźco bądź był to zawsze postęp nie lada, lichwiarz z nałogu obniżył znacznie swoje procenta.

Jeszcze jedna myśl zajmowała teraz pana Joachima: nazywano go hrabią, stosownie więc do tego tytułu musiał zmienić swój temperament. Odzywał się szorstko, nie prosił jak dawniej uprzejmie ale rozkazywał; każde zdanie swoje objawiał z powagą nieomyślności, a nawet gdy kogo potrafił, nie przeproszał tak prędko jak to robił wtedy, gdy był wekslarzem.

I jakoś wszystko uchodziło mu teraz; ludzie ustępowali mu z drogi, a ktoś potracony lub nadeptany przeproszał pierwszy p. Joachima. Przyjmowano jego uwagi bez krytyki i śmiano się, gdy on się śmiał.

— Co to znaczy mieć tytuł, myślał sobie paląc amerykańskie cygare; o jakiś tytuł muszę się koniecznie postarać. Niech kosztuje co chce!... Widzę już dzisiaj, że bez tytułu nie mógłbym dalej żyć, inaczej zaraz patrzą ludzie na człowieka, inaczej mówią do niego. A cóż dopiero kobiety, ów najwyższy procent kapitału życia?

Ostatnie słowa pana Joachima odnosiły się do willi sąsiedniej, w której mieszkała pewna dama nieznaną o czarnych oczach, rysach wschodnich. Siadywała ona często na balkonie swojej willi i patrzyła na swego sąsiada, polskiego hrabiego. *Polnischer Graf* widział kilka razy jak przez lornetę przypatrywała się zaokrąglonej jego figurze.

Do pięknych marzeń bogatego człowieka przybliżała się zawsze jakaś kobieta; piękna sąsiadka zaczęła coraz częściej wchodzić do marzeń pana Joachima. Był on wprawdzie żonaty, ale małżonka jego miała piętnaście wiosen więcej od niego; mógł się z nią rozwieść, choćby nawet to coś kosztować miało,

a do nowego pałacyku nad brzegiem potoku wprowadziłby czarnooką młodą sąsiadkę, która coraz częściej patrzy na niego przez złotą lornetkę.

Przypominał sobie wprawdzie, że o takich specyalach marzy pod obcym nazwiskiem i że właścicielowi tego nazwiska solemnie przyrzekł, iż nic zdrożnego nie zrobi; ale cóż w tém było zdrożnego, że marzy czasem o swojej sąsiadce? przecież to nie wiąże się z nowym nazwiskiem? Raz czytał romans, w którym *Polnischer Graf* był bohaterem, miał w domu żonę a kochał się w aktorce; albo te wszystkie dzisiejsze komedye francuzkie, w których jakiś hrabia lub markiz popełnia awantury miłośne...

P. Joachim był teraz przekonany, że wraz z szlacheckim nazwiskiem, wziął pasyą do pięknych kobiet. Pasya do młodej sąsiadki rosła z każdym dniem, a złota lornetka potwierdzała, że nie był jój obojętnym.

Może na seryo nie myślał o niej, ale przy pięknym widoku na góry i doliny, przy oddychaniu świeżem, górskim powietrzem, a osobliwie wśród tój ciszy próżniaczęj przychodziła mu często do głowy i sprawiała bardzo przyjemne oszołomienie. Lubił się wtedy kołysać na krześle z wygiętymi biegunami a popijając czarną kawę z koniakiem, rzucał spojrzenia na balkon willi sąsiedniej, gdzie na takiem samym krześle kołysała się uroczą sąsiadka.

To kołysanie się wywarło dziwny skutek, koniak i czarna kawa dokonały reszty, nie licząc w to świeżego powietrza i pięknego widoku na doliny i góry.

Pewnego dnia, zaraz po obiedzie, ubrał się pan Joachim starannie i poszedł z wizytą do sąsiedniej willi.

Willa stała nad potokiem, nad brzegami którego znajdowały się spacer publiczne. Były tam ławki do odpoczynku i stoły do picia kawy lub piwa, którego dostarczała poblizka restauracya.

Dzień był pogodny, mnóstwo gości przechadzało się nad potokiem, przy stołach siedziały familijne lub przyjacielskie grupy, posilające się różnemi napojami, harfiarki grały i śpiewały pieśni tyrolskie.

Pan Joachim wszedł na balkon i pokłonił się swojej sąsiadce; piękna sąsiadka przyjęła go uśmiechem niepospolitego zadowolenia.

Szczęśliwy wekslarz zaczął motywować swoje wizytę; mówił o willi sąsiedniej, o czarnych oczach sąsiadki, o pięknym wi-

doku na góry i doliny, o dobrych obiadach pod „Złotą gesią” i o czarnej kawie z koniakiem.

Sąsiadka słuchała go łaskawie, patrzyła w jego złote okulary i na bryloki wiszące u łańcuszka od zegarka. Uśmiechała się z niewysłowioną słodyczą i opowiadała mu wzajemnie, jak się straszliwie nudzi w tém rajskiem ustroniu i jak dawno pragnęła zapoznać się ze swoim sąsiadem. Na podziękę za te piękne słowa, wziął ją pan Joachim za pulchną rączkę i serdecznie uściśnął.

Dla obojga była to chwila szczęśliwa. Do szczęścia pana Joachima brakowało tylko gazety, w którejby wyczytał, że Jmć pan Joachim Rotszyld, znany bankier wiedeński, wyzwwał u wód morskich pana X. na pojedynek, obciął mu nos i ucho jednym zamachem i powyżej serca śmiertelnie zranił.

Byłby to epilog jego szczęścia—byłaby to najprzyjemniejsza nowina, jakiej dzisiaj oczekiwał, a za którą miał potem sówicie zapłacić.

Nowina ta wydrukowana w gazetach miała mu otworzyć pole do nowego życia; z jego aksamitnego kołnierza zeszlaby szkaradna plama, która tam pozostała z doznanej czynnej obelgi. Pojedynek z jakimś prusakiem zmazałby wszystko; cała publiczność czytająca gazety dowiedziałyby się, że pan Joachim ma odwagę zajrzeć w oczy każdemu nieprzyjacielowi, któryby powążył się ubliżyć mu i że w takim razie dzielnie macha szablą lub celnie strzela z pistoletu. Fakt taki zbilby dotychczasowe plotki gazeciarskie a dla przyszłych amatorów jego kołnierza byłby przykładem odstrasającym.

Pan Joachim byłby wtedy szczęśliwym; trzymając grube cygaro w ustach, siedziałby butnie w kawiarni giełdowej i głośno krytykował nie tylko upadłości kupców z Grabenu ale także i finanse Francji. Nie liczyłby się ze słowami i pułby daleko przed siebie.

Sprzyjało mu wszystko w tój gonitwie za ideałami życia; harfiarki grały skoczego walczyka a widziane z balkonu willi wyglądały jak rozkoszne amorki z sajdakiem napełnionym strzałami. Wysoki kelner w czarnym fraku był podobny do Ganimeda na uczcie bogów; oczywiście sam Jowisz siedział na balkonie willi i otwierał właśnie rękę, aby sprawić deszcz złoty i za jego pomocą dostać się do serca uroczej sąsiadki.

— Nie uwierzysz pani—mówił do niej—jak mi żal tych biednych ludzi, którzy tam przy stołach piją kawę i piwo szlacheckie. To tłumaczy mi dzisiejszy socjalizm. Gdybym był tym

chudym blondynem, który tam kawałek sera przy piwie zajada, i patrzył na tę willę i widział człowieka tak szczęśliwego jakim ja dziś jestem—pekłbym niezawodnie z zazdrości lub wyciągnął rękę po jego szczęście. Tak samo wyciągają socjaliści rękę po skrzynię żelazne.

— Więc pan jesteś szczęśliwym? — zapytała uroczą sąsiadka.

— O, pani... jak możesz w tej chwili o to pytać!

— Cóż pan zaliczasz do szczęścia swego?

Pan Joachim założył nogę na nogę i podniósł ją tak wysoko, że koniec lakierowanego buta dostawał do stołu.

— Najprzód odmaluję pani tło mego szczęścia. Wyobraź sobie przecudną okolicę, z widokiem skał i gór po jednej stronie a bałwanami morza po drugiej; oprócz tych bałwanów może być jeszcze idylliczny strumyk w dolinie. Nad strumykiem stoi willa... co mówię—pałac, albo jeszcze lepiej zamek okazały z gotycką wieżą... Liczna służba w czerwonej i złotej liberyi roi się po komnatach i czeka... twoich skinień, o pani!

— Pan mówisz jak we śnie!

— Zaiste, jest to sen tak rozkoszny!

Pan Joachim oparł but swój na stole.

— Sen tak rozkoszny... i zdaje mi się, że się unoszę... że lecę w wyższe pozycje świata, gdzie są miliony...

— Miliony... jakie?

— Milion jest milionem i nie potrzebuje bliższego określenia. Czyś pani widziała milion?

— Czy gwiazd... czy pereł rosy... czy robaczków świętojańskich... czy baniek tęczowych?

Pan Joachim posunął butem po stole.

— O takich głupstwach nie mówię, które każdy biedny człowiek widzi za darmo!

— Myślałam, że w tej chwili jesteś pan poetą?

— Mam w mojej bibliotece Szylera i Getego.

— A tu... co pan masz?

Sąsiadka przyłożyła palec do jego białej kamizelki, pod którą biło serce.

Sąsiad pochwyił ten biały paluszek, ucałował go i przycisnął do swojej piersi.

— Tu... szepnął, tu... tu mam obraz pani!

Nastąpiła długa pauza. Piękna kobieta nie cofnęła swojej ręki, przeciwnie pozostawiła ją w zastawie u właściciela firmy: *Geld für Alles!* Spuściła tylko w ziemię czarne, rozmarzone

oczy, długimi rzęsami do połowy przykryte. Usta zakwitły jak dwa pączki róży, a po białej twarzy przebiegły pręgi liliowe...

W téj chwili wszedł na balkon listonosz i położył na stole gazetę.

Pan Joachim nie chciał przerywać swego upojenia—ale zebrała go ochota choć raz rzucić okiem na kurs anglobanków...

Nie wypuszczając z ręki białego paluszka, drugą wziął gazetę...

Cóż to jest?

Jakiś tłusty telegram!...

W tym telegramie jego nazwisko jeszcze tłusciejsze...

Cóż to znaczy?

Pan Joachim czyta z gorączką... lakierowany but z angielską podeszwą zsuwa się ze stołu na ziemię...

Była to zemsta wyrzuconego za drzwi dziennikarza.

— Cóż to panu? — pyta z niepokojem sąsiadka.

Pan Joachim nic nie odpowiada... poczerwieniał... zsiniał i zbladł.

— To okropnie! To było wbrew naszej umowie!

— Cóż się stało?

— Nie pytaj pani, bo jestem zły jak wściekły pies. Mógłbym wszystkich pokąsać... mógłbym bić się, rąbać i strzelać!

Oczy spokojnych konsumentów piwa i kawy zwróciły się na balkon.

XVIII.

Przy stoliku, który stał najbliżej willi siedział człowiek już niemłody, przed nim stała filiżanka z kawą; miał na sobie ubiór podróżny i kapelusz opylony; dobrze szpakowate włosy ocieniały twarz ogorzałą. Sparł się na sękatéj tarniówce i patrzył na balkon poblizkiéj willi. Kawa przed nim już dawno wystygła. Do stołu zbliżył się kelner.

— Czy masz przyjaciela?—zapytał jegomość łamaną niemieczyzną.

— Dostałem od lokaja.

Kelner podał gościowi kartę wizytową, gość ją odczytał i krzyknął po polsku:

— Chryste Boże! Tożto pan Józef Strzemie * *

Był to zacny pan Jędrzej. Idąc za śladem pana Józefa, przybył aż w to ustronie, aby mu powiedzieć, że Helena nie dlatego pierścionek mu oddała, iż był teraz bez pieniędzy...

I cóż to widzi? Wskazano mu nieznanego człowieka i powiedziano, że to pan Józef!

Nie wierzył... przyniesiono bilet wizytowy.

Pan Jędrzej przeczytał i nie wierzył oczom swoim. Patrzył na nieznanego człowieka, który podszył się pod zacne nazwisko pana Józefa.

Cóż to znaczy?

Krew zawrzała w żyłach pana Jędrzeja. Widział w tém jakąś malwersacją... ale nacóżby pan Józef pożyczył temu człowiekowi swego nazwiska? Czy pan Józef byłby tak lekko-myślnym, aby swój klejnot wynając ludziom do spraw lada-jakich?

Nie, to być nie może! Ten człowiek jest oszustem i przyszedł jakąś intrygą jeżeli nie zbrodnią do zacnego klejnotu!

Trzeba rzecz sprawdzić.

Pan Jędrzej wstał od stołu i puścił się do willi.

Pan Joachim biegał właśnie jak szalony po balkonie. Sasiadka patrzyła na niego z niepokojem.

— To nieprawda—wołał pan Joachim—to fałsz wierutny! Joachima Rotszylda nikt tam kijem nie obil!

— Dlaczegoż nie?—pytała piękna sasiadka.

— Nie, nie, nie! To fałsz i kłamstwo... lub podła intryga! Ale ja zemszczę się, strasznie się zemszczę.

— Cóż to pana tak obchodzi? Wszak to pana nie boli?

— Tego by jeszcze potrzeba było!

W téj chwili wszedł pan Jędrzej na balkon.

— Czy pan jesteś Józef Strzemię * * ?

— Tak jest... Co może oznaczać ta obcesowa ciekawość?

— Do pewnych ludzi bierze się obcesowo...

— Ruszaj pan sobie, bo zawołam policyi...

— Czy na to, aby wzięła oszusta...

— To zapewne pan jesteś oszustem!

Pan Jędrzej podniósł kij sękaty do góry.

— Zkąd wzięłeś złoczyńco zacne nazwisko mego sąsiada?

— Ruszaj z Panem Bogiem, napastniku!

— Jesteś oszustem i złodziejem! ukradłeś cudze nazwisko!

— Idź precz bo cię uduszę!

Pan Joachim rzucił się jak wściekły na pana Jędrzeja, ale sękaty kij przeszkodził jego zamiarom.

— A złodzieju, a oszuście!—krzyczał pan Jędrzej cały czerwony, okładając kijem nieznanego adwersarza.

Publiczność przypatrywała się téj scenie, aż wreszcie stróż porządku publicznego położył koniec temu dziwnemu pojedynkowi.

Nazajutrz zebrali się jeszcze liczniej konsumenci kawy i piwa, aby o zaszłej sprawie pogawędzić.

Dowiedziano się z niemalém zadziwieniem, że cały ten skandal cichaczem ubito, że pan Joachim sam prosił, aby się władze w to nie wdawały, i że zaraz w nocy willę i ustronie opuścił.

W kilka dni potem doniosły stołeczne dzienniki, że tak zwany Joachim Rotszyld, wekslarz smutnej sławy, znikł bez wieści, zabrawszy z sobą pieniądze swoje i cudze.

XIX.

W tydzień po tych wypadkach panowała w dworku górskim niemała konsternacja. Major chodził szerokimi krokami po izbie a przy progu jak winowajca siedział pan Józef; głowę spuścił na piersi i smutno patrzył w ziemię. W izbie nie było więcej nikogo; z ganku tylko zalatywał od czasu do czasu płacz kobiet—zebrały się tam razem jak stado przestraszonych przepiórek.

— Hańba, niesłychana hańba! — wołał Major, łamiąc palce aż trzeszczały — cały ród shańbiles! Jak można było choćby dni kilka chodzić w pożyczanej skorupie nędznika... a na ten czas temuż nędznikowi klejnotu swego pożyczać?... Wprawdzie pan Jędrzej stał się narzędziem sprawiedliwości Bożkiej... wymierzył mu zasłużoną karę... ale któż z ciebie zdejmie tę plamę, żeś publicznie został zelżonym?

— Zawiniłem—odpowiedział pokornie podsądny—ale nie byłem prawie przy zmysłach, gdy tę umowę przyjąłem; Helunia stała mi przed oczyma... teraz widzę jak ją kocham!

— Ba — shańbionego kobieta nie kocha!

— Widzę, żeś wszystko przegrał!

— A któż ci grać kazał? Życie to nie gra—to praca, to obowiązki... Było napastnika na miejscu zabić!

— Nie miałem woli ani energii; nie byłem sobą—a rola nędznika przygniotła mnie jak ołowiem.

— Trzeba tę sprawę naprawić.

Major chodził znowu po izbie czas niejaki.

— Hańba hańbą — rzekł po chwili — trzeba ją zmazać; na to jest jeden tylko sposób: będziesz się ze mną strzelał!

— Z Majorem?

— Tak jest, splamileś klejnot. Trzydzieści kilka lat mieszkałem tu pod tą strzechą u przyjaciela a twego ojca; pracowaliśmy razem na twardej glebie. Myślałem, że wnuki twoje będą uczyły szablą robić... a dzisiaj... opuszczę tę strzechę i w świat pójdę.

— Majorze!

— Z człowiekiem shańbionym pod jednym dachem mieszkać nie można. Zresztą sąsiadom także należy się satysfakcja, któż ci rękę poda?

P. Józef zwiesił jeszcze niżej głowę do ziemi.

— Tylko pojedynek może mnie z tobą, a może i z sąsiadami pogodzić. Będziemy się strzelać.

— Ja z Majorem?

— Tu niema Majora, jest tylko człowiek honorowy!

P. Józef oddychał ciężko; po chwili podniósł głowę.

— Jeżeli tak być musi—odpowiedział—to w Imię Boga. I obejrzał się za pistoletami.

— Zaczekaj— to musi być przy świadkach. Weźmiemy dwóch z szlachty zagonowej, aby widzieli i świadectwo dali...

XX.

Przez kilka dni wrzało i gotowało się w kotlinie górskiej jak w ulu. Szlachta sejmikowała, klóciła się i hałasowała; jedni chcieli Józefowi dać *absolutorium* ze względu, że tu zaszedł *error in persona*; drudzy kontentowali się już tém, że wekslarza wygarbował pan Jędrzej; większość jednak ani słyszeć chciała o takiém rozgrzeszeniu. Zastaw klejnotu szlacheckiego u firmy szachrajskiej był u nich grzechem przeciw Duchowi Świętemu, chcieli malefikanta wyzuć z czci, skazać na banicyą z gór i ogłosić za umarłego...

Piątego dnia był targ w mieście powiatowém. Szlachta zjechała się tłumnie, zapełniła salę hotelową i zasiadła do sądu.

Wszedł Major, trochę kulejący, w towarzystwie dwóch z szlachty zagonowój.

Nastala cisza. Major zaczął mówić.

Mówił najprzód długo o klejnocie szlacheckim, potem o nazwisku rodowém, jak jedno i drugie szanować potrzeba. Opowiedział historią p. Józefa, jak grał na giełdzie za namową szachrajów, jak wygrywał i w końcu wszystko stracił. Żywemi barwami odmalował sentyment jego do Heluni i rozpacz, która go popchnęła do kroku tak hazardownego. Na zmniejszenie winy przytoczył, że wekslarz jako ponętę smaczną okazał mu w perspektywie prusaka i jak p. Józef dał się złapać na tę ponętę.

Daléj mówił o honorze zacnego obywatela i jak ten honor doznał wielkiej krzywdy w osobie p. Józefa. Według jego zdania wymagało to krwi... Krew popłynęła.

Obaj świadkowie zeznali, że Major strzelał się z p. Józefem i że p. Józef został draśnięty w ramię.

Po tém świadectwie żądał Major rozgrzeszenia dla swego klienta.

Głębokie milczenie zapanowało w całej sali. Major miał łzy w oczach — p. Jędrzej także płakał.

Nikt jednak nie wyrzekł ani słowa.

Wreszcie ozwał się najstarszy wiekiem imé pan Nieczuja.

— Romans romansem, mości panowie, ale tu chodzi *primo* o klejnot szlachecki, a potem o cześć uczciwego człowieka. Co-raz więcej grasuje u nas choroba interesów prywatnych, osłoni-ona niby dobrém publiczném. Wprawdzie pan Józef nie nale-żał do tych, którzy tak frymarczą, ale *exemplum est statuendum*.

Całe zgromadzenie przyklasnęło mówcy.

— Do spółek szachrajskich wchodzić — mówił dalej Nieczuja — będzie zawsze hańbą niezmazaną. Ponieważ jednak pan Józef tego nie uczynił, tylko lekkomyślnie swe nazwisko firmie oszusta chciał sprzedać, przeto można mu przebaczyć ale pod pewnym warunkiem.

Cisza głęboka nastąpiła.

— Ponieważ pan Józef bez pracy chciał przyjść do ma-jątku—przeto skazany będzie na pracę. Jest koło nas majątek małoletnich, zagrożony przez lichwiarzy; pan Józef obejmie ten majątek w swój zarząd, będzie dwa lub trzy lata bezpłatnym ekonomem a uporządkowawszy interesą odda go biednym sier-rotom! I wtedy dopiero otrzyma rozgrzeszenie!

Huczny oklask zakończył ten wyrok.

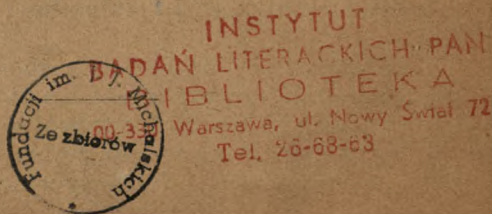
Major wniósł tylko poprawkę, aby przez ten czas wolno było p. Józefowi raz na tydzień, w niedzielę, pojechać do Ko-nopówki i Helunię odwiedzić.

Chciał p. Jędrzej coś na to replikować, ale sąsiedzi rzucili się na niego i tak go ściskać zaczęli, że słowa nie mógł z siebie wydobyć.

Milczenie to wzięto za przyzwolenie.

P. Józef poddał się z pokorą wyrokowi.

Przed rozejściem się sąsiedzi wypili zdrowie imé pana Jędrzeja, dając mu tytuł „radcy najwyższego trybunału”.



F
3756